

---

Józef Grajaert.

---



O KURPIKU  
WOJACZKU

---

PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA



Gdańsk-Wrzeszcz  
Al. Gen. J. Hallera 14

111071





O KURPIKU WOJACZKU.

Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów,

JÓZEF GRAJNERT.

---

# O Kurpiku Wojaczku.

Powieść z czasów Księstwa Warszawskiego.



WARSZAWA.  
NAKŁAD REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI”.  
1908.

V. 142/82



111071

RECEIVED  
NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION



## ROZDZIAŁ I.

---

— Ha! tuś mi, zbóju przeklęty! zjadaczu naszych kur i kaczek!—mówił do siebie półgłosem chłopiec może dziesięcioletni, skradający się z krucicą w ręku ku ogromnemu dębowi, stojącemu wśród puszczy leśnej.

Tam, na rozsochatej gałęzi, siedział pomiędzy liśćmi przyczajony, jasno-rudy, centkowany ryś. Nastawił śpiczaste uszy, a gdy chłopiec był już na strzał od niego, groźnie warknął, wyszczerzył ostre zęby, grzbiet najeżył i kto wie, czyby się zwyczajem swoim nie rzucił na chłopca; ale młodociany myśliwy uprzedził go, wołając:

— Nie doczekanie twoje, zbójniku! — i zmierzyszy się, wypalił z krucicy.

Strzał się rozległ daleko w gęstwinach ogromnego boru, a był widocznie celny, albowiem ryś ostremi pazurami trzymał się rozpaczliwie konaru dębowego przez chwilę, a potem spadając z szumem po liściach drzewa, runął bez tchu na ziemię.

Chłopiec z zadowoleniem przyjrzał mu się chwilę, potem odpiął sznurek, którym był przepasany, powiązał mu nogi i przerzucił go sobie na plecy. Potem na wszelki przypadek nabił znowu swą małą pojedynkę i skierował się z puszczy leśnej na polankę, gdzie stał dom jego rodziców.

Działo się to sto kilkanaście lat temu, bo w roku 1793, w puszczy Myszenieckiej, wśród Kurpiów, nad rzeczkami Skwą i Omulsem mieszkających, która to ostatnia w Ostrołęckiem niedaleko od miasta Łomży wpada do Narwi.

Chłopiec obyczajem Kurpiów był ubrany w sukmankę z ciemno brunatnego sukna z tyłu suto fałdowaną, z wyłogami granatowemi i sztywnym stojącym kołnierzem. Że to było o cieplej już wiosnie, więc miał na sobie spodeńki płócienne, na nogach chodaki

z łyka lipowego plecione, kapelusik niski z wąskim otokiem, przystrojony piórkami kraski i sójki, a koszulę pod szyję przewiązał sobie czerwoną wstążeczką.

Z polanki wychylił się idącemu ze zdobyczą chłopcu niski, obszerny dach z krzyżykiem na szczycie, starannie wyszalowany, przyozdobiony nabijanemi gwoździkami i świecącemi blaszkami zręcznie podłożonemi pod łebki gwoździ. Wychyliły się też niebawem i duże okna z okiennicami, a w oknach stały doniczki z kwitnącymi kwiatkami.

Z poza tej obszernej chaty, wybiegały w górę daszki stodół, chlewu i obórki, a za niemi ogród z warzywem i sad z owocowemi drzewami. Widać też było, zaczawszy od płotów, wszędy porządek a na podwórku schludność i czystość.

Z komina murowanego wił się ku modremu niebu dym siny, zapewne od gotowania obiadu, boć to południe już się zbliżało.

Po nad domem i nad polanką krążyło stado gołębi niby duże, białe motyle.

Cała ta zagroda należała do bartnika, zasiedzialego tu Kurpia, który miał z przodków miano Kuwik. Należał tu do niego tak zwany „pól-borek,“ to jest

oznaczona przez starostę Ostrołęckiego przestrzeń, gdzie, jak zwykle w takich pół-borkach wolno mu było miód podbierać w barciach, wyźlobionych wysoko na pniach sosen, a miał tych barci wraz z ulami w ogrodzie sztuk pięćdziesiąt.

Oplacał on, jako królewski dzierżawca, podatek w miodzie i małą kwotę pieniężną, wartości skórki kuniej.

Kurpie bartnicy obierali sobie sędziego bartnego, który wraz z podsędkami i pisarzem miejscowe rządy sprawował. Wyższym urzędnikiem był starosta w Ostrołęce, którego król sam naznaczał.

Ale myszenieccy bartnicy nietylko umieli pszczoły hodować, miód podbierać i bursztyn kopać; byli oni na równi z gajowymi i leśniczymi w Łomżyńskim doskonałymi strzelcami, jak tego dali dowód w boju ze Szwedami przed laty i jak się też jeszcze niebawem dowiemy o tem.

— Mam szkódnika, tatulu!—rzekł dzieciuch, składając upolowanego rysia u nóg ojca, który ze strugiem w rękę coś tam dłubał na podwórku wedle małego ula, co miał być zawieszony wysoko u sosny dla nowego roju.

— Gdzież ci się udało przecie go zdybać?—zapytał bartnik syna.

— Ha! na starym dębie nad strumykiem, co do Skwy po za borem wpływa. Aleé i norę kuny udało mi się wynaleźć; po objedzie wyjdę z naszym jamniczkiem, może mi się uda ją wykurzyć z jamy i upolować.

— A no, to i spróbuj!—rzekł ojciec, — to także szkodnik, a i skórka się oplaci.

Wyszła z domu na podwórze i matka, odziana spódnicą w kolorowe pasy, własnego wyrobu, i w chustce na głowie.

— Ho! ho!—odezwała się do syna, oglądając dwulokciowego rysia — to ci się dziś udało, mój Tomku! Niemaló ten zboreźnik narobił mi szkody w drobiu. Aleé jest ich tam pównie więcej w boru?

— Nie tylko on do drobiu, ale i do sarn bierze się drapieźnik, moja matuchno, to też wszystkie będą katrupił co do nogi!—rzekł zuchowato Tomek,—przećcieć ołowiu i prochu i skałek do kurka mam jeszcze pod dostatkiem.

— Psięknie zrobisz, mój synku,— pochwaliła go matka \*).

— Ja tego zaraz ze skóry obciągnę, — odezwał się chłopiec nieco starszy od Tomka, brat jego Wojtuś, który w tę chwilę nadszedł; chromał on na jedną nogę po nieszczęsnym upadku z wyniosłej sosny, gdy się tam do gniazd orlików wspinał. Poczem zaciągnął rysia do chaty.

Wszedł tam za matką i nasz młodziuchny strzelec. W izbie obszernej, czysto wybielonej stały łóżka wysoko usłane; na ścianach wisiały obrazki Świętych, między którymi królowała Matka Boska Częstochowska z utkwioną nad Nią palmą poświęcaną; bowiem i nasi już znajomi, tak jak wszyscy kurpiowie i kurpianki bardzo pobożnymi byli ludźmi; już też nieraz w kurpiowskiej kompanii odbywali pieszo pielgrzymki na Jasną Górę i ztamtąd zawsze jakąś miłą pamiątkę do dom przynieśli.

---

\*) Kurpie mówią: psięknie, psiasek, kanień, Michał i t. p., zamiast: pięknie, piasek, Michał, kamień; lecz my tutaj tych zboczeń naszej mowy nie będziemy powtarzali.

Oprócz tego ponad łóżkiem gospodarza wisiała na gwoździu dwururna skałkówka, bo takich tylko strzelb w one czasy strzelcy i myśliwi używali, a z pod dwururki wychylała się na ścianie torba bursucza, i duży róg z prochem.

Tomek zawiesił także małą jednorurkówkę nad łóżeczkiem swoim w alkierzyku, i za chwilę usiedli do obiadu, do którego przysiadła się też i służąca już niemłoda kobieta.

Nadszedł rok 1794 pełen nadziei, bohaterstwa, okropności i smutku dla ówczesnej, znacznie już uszczuplonej Polski. Po drugim jej w r. 1792 rozbiore, dokonanym przez Rosyę i Prusy, gdyż Austria już przy pierwszym rozbiore obłowila się hojnie, została tylko mała częśćka na pozór niepodległa, z częścią Mało-Polski, Litwy i Wołynia, z miastami Warszawą, Poznaniem, Krakowem, Wilnem, Grodnem i Żytomierzem. Tak, była Polska tylko {pozornie niepodległa, gdyż w stolicy kraju w Warszawie prawie wszechwładnie rządził ambasador rosyjski srogi generał Igelstrom, pomimo, iż tam w zamku królewskim niedołączny król polski Stanisław August Poniatowski siedział, słucha-

jący we wszystkim rozkazów z Petersburga cesarzowej Katarzyny II-ej.

Gdy do Wielkopolski wkroczyli Prusacy i resztę jej zajęli, zażądali zaraz na mocy układu z Rosyą i Austryą, aby wojsko polskie tam stojące, albo w części zmniejszone, w części do cna rozbrojone zostało. Król, zajęty głównie smacznymi obiadekami i zabawami, nie czując bynajmniej krzywdy i hańby narodu, a dbający wielce o względy cesarzowej Katarzyny, nie stawiał żadnego oporu nieprzyjacielskim pożądanym.

Dobrzy Polacy do żywego przejęci zgryzotą z tego upadku Ojczyzny, w nikim nie widzieli nadziei i pomocy, tylko w Bogu i w swoich siłach. Zaczęli się więc zmawiać pokątnie, cicho, gromadzić siły, pokrzepiać ducha, słowem, przygotowywali siłę zbrojną.

Naczelnikiem jej ogłosili Tadeusza Kościuszkę, który ukończywszy nauki w korpusie kadetów w Warszawie, wstąpił do wojska i niezadługo odznaczył się w bitwach z Rosyanami na Wołyniu, pod Zielenkami i pod Dubienką, gdzie jako wódz części wojska, któremu przywoził młody książę Józef Poniatowski synowiec króla, w krwawym boju okrył się sławą.



Gdy jednakże zdrajcy kraju: Szczęsny Potocki, Seweryn Rzewuski, hetman Ksawery Branicki i inni, co w Targowicy na Podolu niecnym uczynili związek i zbawienne uchwały sejmowe z 3 maja 1791 r. przy pomocy wojska rosyjskiego niweczyli, gdy nadto król na rozkaz cesarzowej z nimi się połączył i wojsku polskiemu walczyć dalej zabronił, wtedy Kościuszko zmuszony kraj opuścić, udał się do Ameryki. Tam wraz z generałem Puławskim walczył za wolność ludu Stanów Zjednoczonych przeciwko Anglikom, i gdy ta wywalczona została, powrócił do Europy.

Teraz generałowie polscy, gotujący powstanie, przyzwali go do Krakowa, gdzie też na rynku w pobliżu ratusza i gmachu Sukiennic publiczną w obec ludu i wojska złożył przysięgę, iż oręża swego użyje tylko w obronie Ojczyzny i dla jej wyzwolenia.

Ale, wróćmy się na chwilę do naszych Kurpiów Myszynieckich. Było to w połowie marca tegoż 1794 r., słońce przygrzewało już odmrażającej się ziemi, gdy do ogrodu, w którym około drzew i krzewów owocowych krzątał się bartnik Kuwik, wszedł, a było już dość z południa, jakiś mężczyzna młody o dziarskiej postawie. Kim on był, dowiemy się niebawem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! —  
rzekł, uchylając kapelusza.

— Na wieki wieków, Amen!—odpowiedział Kuwik,  
trzymając nóż ogrodniczy w ręce.—Witamy, a cóż tam  
pana pisarza do nas sprowadza?

— Mam pilne zlecenie od starosty bartnego...  
ale chciałbym o tem sam na sam z wami pogadać—  
i obejrzał się po ogrodzie, w którym prócz służącej  
jeszcze jakaś najemnica zajęta była sprawianiem ziemi  
pod warzywa.

Bartnik poprosił pisarza bartnego do mieszkania.  
Weszli do izby czyściutkiej, wesołej. Kuwikowa, ko-  
bieta jeszcze dziarska w średnim wieku, zajęta przy  
krosnach, na których był naciągnięty do połowy już  
zrobiony kilimek, powstała, żeby przywitać gościa. Obu  
synów nie było pod ten czas w domu.

— Podaj nam, Kundziu, dzbanek miodu, — rzekł  
do żony gospodarz—i na przegryzkę ten podplomyk,  
coś go to dziś uprzyła. Posilimy się z panem pisa-  
rzem.

Ten za chwilę przy miodku zagabnął gospodarza  
półgłosem:

— Ważną i tajemną niosę wiadomość—czy można przy żonie?

— Moja Kundzia,—odpowiedział Kuwik,—to kamień w studni, plotek i próżnych gadanin nie cierpi.

Gdy Kuwikowa zajęła się znowu robotą na krosnach, pisarz zaczął:

— Zapewne jeszcze tu w puszczy nie doszło do waszych uszu, że Prusacy co tu już w okolicy grasują, wezwali generała Antoniego Madalińskiego jako dowódcę dwóch naszych pułków ułańskich w Ostrołęce, żeby natychmiast się rozbroił i broń w ręce jakiegoś pruskiego oberszta, to jest pułkownika, złożył.

— A cóż generał na to?

— Podarł na strzępy wręczony mu przez posłańca papier od oberszta, i zbył go krótkimi słowy: „jak rak świnię! Niech wasz oberszt pofatyguje się tutaj lance nam odebrać.“

— No, a co dalej się stało? — pytał zaciekawiony bartnik.

— Dalej to się stało, że generał ze swymi ułanami przepawił się przez Narew, wpadł do Krasnosielca i tamtejszą pikietę pruską wziął do niewoli. Ma on zamiar przerznąć się do Krakowa, gdzie polscy je-

nerałowie wraz z Kościuszką ułożyli już powstanie zbrojne. Ale żeby się w drodze mógł zmierzyć z gestem i załogami pruskiemi, potrzebuje pomocy ludu — a zwłaszcza was, Kurpiaków, co tak strasznie ze swoich strzelb mierzyć umiecie. Właśnie w tej rzeczy mam oto papier od naszego starosty bartnego, zachęcający strzelców i bartników Myszynieckich, by Madalińskiemu przysłali z pomocą. Ten postanowił pojutrze w tych oto borach nad rzeczką Omulcem spotkać się z prusakami, co w znacznej sile na niego idą. Cóż, panie gospodarzu, na to mówicie?

— Ja powiem krótko i węzłowato, prosto z mostu! — odpowiedział Kuwik — z odkładu niema ładu, — na wojnę dłuższą już mi iść nie pora; zresztą mam jeszcze w domu dzieci nieletnie; ale z miłą chęcią stawię się na pewno i z drugimi, tam, w puszczy, gdzie nam generał stanowisko wyznaczy. Tych pludrów szkodnych trzeba przecie raz rozumu nauczyć.

— Właśnie w tej oto piśmiennej odezwie — rzecze pisarz — generał wyznaczył nocą punkt zborny w lasach, nad jeziorem, przez które Omulec przepływa.

— Dobrze! stawię się tam jutro pod wieczór z moją sękałkówką; ale niech też tam i inni przybędą.

— Właśnie za tem idę dalej w puszcę — rzekł pisarz—Czołem! — i pożegnał małżonków Kuwików.

— Poszczęść, Boże! — posłał jeszcze za nim pożegnanie Kuwik.

Gdy obaj synowie powrócili z lasu, kazał im Kuwik nalać kulek ołowianych, a sam obejrzał, wyczyścił swą dwururkę, spróbował skałek, a torbę borsuczą zaopatrzył w żywność na dni parę. Tomkowi, który się też ze swą jednorurką wrywał, nazajutrz wieczorem kazał iść borem opodał za sobą.

Dobrze wymiarkował generał Madaliński: na trzeci dzień zrana wzdłuż jeziora na Omulcu ciągnął ku Ostrołęce pułk huzarów pruskich z batalionem piechoty i dwiema armatami. Kurpiów ze strzelbami i pikami, kosami zebrało się w miejscu wskazanem do czterystu chłopów.

Nadciągnął o świcie i Madaliński ze swymi ułanami i zrobił zasadzkę w puszczy. Zaledwie się na wąskiej drodze pokazali Prusacy, gdy na komendę generała przeszło trzysta strzelb kurpiowskich z za drzewin ku nim wypaliło. Najmniej setka piechoty zginęła na miejscu i kilkudziesięciu huzarów spadło z koni. Madaliński tymczasem przypuścił gwałtowny atak

swoimi ułanami, bil i siekał uciekających w popłochu nieprzyjaciół; cząstka przepadła w lasach, a resztę wziął do niewoli wraz z dwiema armatami.

I nasz Kuwik nie próżnował; zapewne też nie jeden prusak z jego przyczyny nakrył się tam nogami. Naszych trzech rannych odwieziono do lazaretu w Ostrołęce.

Stary Kuwik huknął teraz po swojemu na Tomka, przyłożywszy dłoń zwiniętą w trąbkę do ust. Tomek ukryty w gęstwinie pomiędzy sosnami niebawem nadbiegł, trzymając w pogotowiu swą strzelbiczkę, a rzecząc jego rzekł:

— Idź teraz, mój Tomku, do matki, — powiedz, żeśmy tamtym skórę tego wytrzepali, i że najdalej pojutrze do domu wrócę.

Posłuchał natychmiast ojca dzieciuch, ale nie mógł się powstrzymać, aby nie poskoczyć na pobojowisko, z kądem przyniósł do domu szablę pruską i leżący w rowie karabin z odłamanym bagnetem. Szablę tę z lichej stali przerobił kowal Kuwikom na noże.

Odprowadził jeszcze nasz bartnik generała za Pul-tusk—w miejsce już bezpieczniejsze, poczem powrócił do swych zajęć w ogrodzie i przy barciach. Część

młodych ochotników pociągnęła dalej z Madalińskim do Krakowa, zbierając tu i owdzie załogi i pikiety pruskie po miasteczkach.

Tymczasem w Krakowie, co tylko żyło, otoczyło generała Kościuszkę, jako przysłego zbawcę Polski; lud na rękach go nosił, a on w krakowskiej chłopskiej sukmanie, z czerwoną czapeczką na głowie siadł na konika i wywijając pałaszem woła: „Hej, dalej za mną, krakowiaki! dalej za kosy i piki, pójdziemy ostatnią kroplę krwi przelać za Matkę naszą.“ A chłopkowie, jak zobaczą, że on taki pan, taki sławny generał mówi do nich po bratersku, a prawda mu z oczu patrzy, — tak dalej rwać się jeden przez drugiego do kos, do kłonic, do koni, i tak złączywszy się z regularnem wojskiem polskiem, ciągnęła wyśpiewując, ta ochocza ruchawka, przeciw nieprzyjaciolom aż pod Raclawice.

O tej raclawickiej bitwie i o dalszych tak opowiadał naszym myszenieckim Kurpiom młody ich sąsiad z leśnego uroczyiska Dudy nad rzeką Skwa leżącego, niejaki Jędrzek Skwarski, który jako inwalida z przestrzeloną nogą, po wyleczeniu się powrócił do domu.

— Mieliśmy i my z sobą armaty — mówił —

strzelaliśmy też do nich, aż wypadło, że generał Kościuszko wywołał nas kosynierów z lasku, gdzieśmy byli ukryci. Krzyknął na nas: „Chłopcy! te armaty nieprzyjaciela, co tak na nas pluja, trzeba wziąć koniecznie! Dodał nam oddział piechoty, a my z kosami w rękę piorunem rzuciliśmy się naprzód. Sypnęli do nas nieprzyjaciele z armat kartaczami, aż się zważyło kilkadziesiąt chłopca; ale Kościuszko zdjawszy czapkę, zawołał:

— „Nie dajcie się wiarusy, pokażcie, co umiecie! Naprzód! Bóg i Ojczyzna!“

Serca nam przybyło, skoczyliśmy z kosami, a Bartosz Głowacki na czele; siekliśmy i kłuli co daj, Boże! Po zupełnem zwycięstwie i zdobyciu dwunastu armat, szliśmy dalej ku Warszawie. Było to w początkach kwietnia.

— I były znówu bitwy?—zapytał Jędrka z wielką ciekawością Tomcio.

— A jakże! przyszło niedługo do nowej — odpowiedział Skwarski. — Zastąpili nam drogę nie tylko Rosyane ale i Prusacy, co udawali, że są naszymi przyjaciółmi i król ich Fryderyk Wilhelm namówił Polaków do zerwania układu z Rosją, a tam pod Szcze-



kocinami zdradliwie na nas z drugiej strony napadł. Nie mogli jednak po tej porażce powstrzymać Kościuszki w dalszym pochodzie do stolicy.

Ale ja już dalej posuwać się nie mogłem, bo właśnie tam pod Szczekocinami kula mi w nodze kość przestrzeliła, i musiałem przez kilka tygodni przeleżeć w lazarecie kieleckim, aż zabierając się na wózkach, do dom, oto wróciłem.

— O! jabym się, na twojem miejscu, Jędrku, pomścił jako na nich za tę kulę w nodze — odezwał się mały Tomcio z za stoła, przy którym Jędrak i rodzina Kuwików wtedy siedziała.

— Jak podrośniesz, to będziesz miał porę pomścić się za mnie na tych pluderskich szkodnikach — odparł z uśmiechem Jędrak — boć pewnie ich u nas na długo nie zbraknie.

— Tymczasem — mówił dalej Jędrak -- nasi bitwę w samej Warszawie wygrali i pobili generała Igelstroma, a najwięcej odznaczył się starszy zgromadzenia szewców—Jan Kiliński.

— A! to dobrze, a to pysznie się stało — zawołał z zachwytem Tomcio, klaskając dłońmi — ja żebym tam był, to...

— To nicbyś nie zrobił, młeczaku! — odparł ojciec — jeszcześ na to za młody, — pchelka taka...

— Kto wie? — rzekł malec nieco urażony — i mała pchła dużemu człowiekowi dokuczyć może... Nie darmo mówi zagadka: że małuśki ten robaczek i wielką kłodę poruszy...

Roześmieli się wszyscy z tej ohotnej gotowości chłopca, a Jędrak, podawszy dłoń gospodarzowi i pocałowawszy w czoło Tomcia, wyszedł.

Powiemy tu dalej, że gdy Kościuszko dostał się do Warszawy, przyprowadzili Prusacy 50 tysięcy wojska i złączywszy się z 10 tysiącami Rosyan, oblegli Warszawę, którą jak i całym krajem więcej rządził Kościuszko, niż sam ślamazarny król, mając do pomocy generałów: Zajączka i księcia Józefa Poniatowskiego synowca królewskiego.

Mimo to wszystko, Kościuszko wraz z księciem Poniatowskim, Kilińskim i innymi bronił się dzielnie na wałach świeżo wzniesionych w okopach i na reduktach uzbrojonych w armaty wzdłuż Warszawy, począwszy od przedmieść: Marymontu, Woli aż ku Mokotowi. Niejedną klęskę nieprzyjaciółowi nasi zadali; aż wreszcie król pruski zniechęcony niepowodzeniem,

przytem zagrożony na tyłach powstaniem w Poznańskim, które wzniecił generał Mniewski, pewnej nocy cicho z pod Warszawy umknął.

W tydzień a może trochę więcej potem nasz młodzieniaszek, Tomcio Kuwik, począł na podwórku śpiewać krakowiaka, aż się rozlegało w półborku:

Pisał król pruski do pana Kościuszki,  
Że mu pogruchocze Warszawę na kruszki.  
Kościuszek odpisał, że go się nie boi,  
I że z wsyćkiem wojskiem pod Warszawą stoi.“

— A! ty smyrdo mały, skądś się tej piosneczki nauczyłeś? — spytała go dobrotliwie matka, która wraz ze służącą wracała od doju.

— A przecież, jak byłem z tatulą ze skórkami na sprzedaż w Warszawie, to ją tam po ulicach śpiewają — odrzekł chłopiec i znowu z radością powtórzył sobie owego krakowiaka.

---

## ROZDZIAŁ II.

---

Żeby utrzymać wątek z dalszemi wydarzeniami, powiemy, że gdy Austryacy bobrowali w Lubelskiem i na Wołyniu, Rosyanie, wyszukawszy srogięgo i walecznego jenerała Suworowa, postawili go na czele wojska. Szedł on do Polski, aby się połączyć z drugim jenerałem rosyjskim Fersenem, który pod wieś Maciejowice w Siedleckiem leżącą nad Wisłą, ciągnął. Kościuszko, który z Warszawy z paru adjutantami tylko dla przeglądu wojska konno wyjechał, teraz, aby przeszkodzić połączeniu się obu jenerałów, musiał stanąć na czele niewielkiego korpusu polskiego i przyjąć bitwę pod Maciejowicami. Walczyli nasi do upad-



Maciejowice: Miejsce, gdzie znaleziono ранego Kościuszkę  
i zabrano do niewoli.

tego: cały pułk Działyńskich, gdzie stał, odpierając napad liczniejszego nieprzyjaciela, poległ z chwałą. Kościuszko wszędzie obiega szeregi i dodaje odwagi, a niespokojnym okiem wygląda, czy nie przyjdzie umówiona pomoc, to jest Ponińskiego oddział? Darmo! Podły Poniński zamiast pośpieszyć z pomocą, nie przybył, dla tego, że się zagrał w karty, a może był i przekupiony. Kościuszko otoczony od kozaków, gdy koń pod nim pada, chce się ratować, ale dostaje ciężce w głowę i tak wzięty jest do niewoli.

Wojsko nie mające wodza, ustępuje z placu, straciwszy 8 tysięcy zabitych i rannych; rosyjan legło drugie tyle. Lud warszawski dowiedziawszy się, że ukochany wódz, cała nadzieja Ojczyzny, dostał się do niewoli, wysypał się u 20 tysięcy i chciał pośpieszyć, aby go odbić. Ale ludzie zmyślali zaczęli odradzać i przekładać, że to już na próżno, i tak cofnęli nazad tych, coby może dali ratunek upadającej sprawie.

Wraz ze zranionym Kościuszką dostał się do niewoli i adjutant oraz sekretarz Kościuszki, Julian Ursyn Niemcewicz sławny uczoney i inni.

Dowiedzieli się o tem wszystkim z ust do ust nasi kurpiowie w Myszenieckim półborku. Smutek

wszystkich ogarnął; mały Tomcio, ścisnął zęby i pięściami wytrząsał w stronę, gdzie się ta Maciejowiecka bitwa rezegrała, a może też i nikczemnemu Ponińskiemu zdaleka tak pogroził?...

Naród teraz zaczął upadać na duchu. Wojska choć było jeszcze ze 30 tysięcy, które mogło dobrze stawić się nieprzyjaciółom, po upadku naczelnego dowódcy, wszelką nadzieję obrony postradało; ci i owi rozeszli się do domu lub wynosili się za granicę.

Na Warszawę tedy padła ostatnia trwoga, gdy srogi Suworow w 50 tysięcy żołnierza zbliżył się pod Pragę, którą tylko Wisła od Warszawy przedziela.

Przedmieście to miało wprawdzie okopy, warownie i dość liczną załogę z resztek wojska, ale cóż, kiedy rozpacz i zwątpienie opanowały serca!.. Na Pradze dowodził Polakami generał Zajaczek, który źle zrobił, że się dał nieprzyjacielowi w nocy blisko podsunąć pod okopy.

Widząc taką karygodną nieostrożność, dzielni generałowie: Jasiński, Grabowski, Korsak bronili nieprzyjacielowi przystępu do upadłego i wszyscy na okopach polegli. Rozjątrzone żołdactwo wpadło tłumem, podkładając ogień pod domy i pohulało sobie.

W okropnej tej rzezi zginęło 21 tysięcy ludzi.

Resztką wojska naszego z Pragi przeprowadziła się do Warszawy i tam z jej załogą wyszła; napierane przez nieprzyjaciół pod Radoszycami i Końskimi, w Radomskiem, wojsko złożony broni, rozeszło się do domów.

Warszawę na chwilę zajął Suworow. Nastąpiło teraz srogie prześladowanie tych, co pierwsi broni podnieśli.

Niby to za karę, że Polacy wzięli się do broni, trzej sąsiedzi nasi postanowili rozebrać Polskę do szczerbnie. Rosya zabrała resztę Litwy, Austriacy Galicyę z Krakowem, Prusacy Wielkopolskę i Mazowsze wraz z Warszawą zajęli, a król przeniesiony do Petersburga, w 2 lata potem trawiony zgryzotą, życie zakończył.

Stało się to ostatecznie z Polską w r. 1796.

Ten i ów tylko w skrytości gorzko płakał i wznosił ręce do Boga, aby ulitował się nad wspólną niedolą i dał przyszłość lepszą.

W ten sposób poczciwi bitni Kurpie wraz z naszymi znajomymi dostali się pod przemoc pruską. W Ostrołęce



miejsce starosty polskiego zajął teraz hardy landrath pruski.

Nasz młody Tomcio kończył wtedy rok 14 życia, choć z wyglądu i krzepkiego składu ciała zdawał się mieć lat więcej.

Słyszając od ojca zdanie: że tak liczny naród polsko-litewski nie może przy swej dobrej woli i gotowości do boju zmarnieć, nabył sobie szablę długą od jednego z kawalerzystów polskich, weterana, od czasu do czasu ją podostrzywał na toczalniku w stajence i od rdzy czyścił, lepszych czekając czasów, a akrywał ją przed pruskiemi szpiclami, wraz ze strzelbą ojca i swoją, w dziupli ogromnej sosny.

Niestety! dużo wody upłynęło w rzeczce Skwie, bo kilka lat mijało, a jeszcze na lepsze dla nas nie zmieniły się czasy. Ale w Europie wrzało i kotłowało się już od lat 13-tu. Dowiedział się o tem nasz młody kurp' z dwóch gazet, które wtenczas wychodziły; obie przychodziły do starosty Bartnickiego w Myszyn-cu, którego sobie świeżo bartnicy na ten urząd wybrali.

Tomek umiał czytać i pisać, bowiem polska Komisya Edukacyjna czyli naukowa, ustawiona przez sejm

jeszcze w roku 1775, zajęła się bardzo oświatą ludową, wypuściwszy w świat setki tysięcy elementarzy i książek początkowych; więc i młody nasz przyjaciel przy pomocy znanego nam pisarza bartnego miał sposobność z nich się wyuczyć czytania.

Otóż gazety te donosiły światu o wielkiej rewolucyi, która we Francyi jeszcze w r. 1789 wybuchnęła i która, w miejsce króla, Rzeczpospolitą Francuską ustanowiła.

Czytał dalej nasz młody kurp' w gazetach, jak po złożeniu pod Radoszycami i Końskimi bronii, wielu naszych wojskowych i prawych obywateli, chcąc ująć prześladowania w rozerwanej ojczyźnie, udało się za granicę do Francyi, do Włoch i innych krajów. Gdy we Francyi nowy rząd się już ustalił, nasi dzielni generałowie Kniaziewicz i Dąbrowski udali się jeszcze pod koniec powstania Kościuszki prosto do Paryża, i tam zaczęli władzę rządzącą namawiać, aby się ujęła za nasze krzywdy i utworzyła wojsko z Polaków tułających się po obczyźnie, które im za to będzie pomagało bić nieprzyjaciół. Wojsko to miało mieć nazwę Legionów. Że Francuzi potrzebowali dużo żołnierza, prowadząc ciągle wojny z całym światem tedy

posłali generałów Kniaziewicza i Dąbrowskiego do Włoch dla utworzenia takich legionów.

Z uciśnionego kraju jaki taki przez wiele granic i niebezpieczeństw przedzierał się i zaciągał do Legionów. Nasz Tomcio, który pod on czas 18-tu lat życia sięgał, czytając te dzieje, całą duszą rwał się do tych zagranicznych pułków naszych. Zwierzył się nawet ze swym zamiarem ojcu.

— Poczekaj trochę jeszcze — odpowiedział ojciec — za młody jesteś do tułania się za krajem, a jestem pewny, że nadejdzie pora i dla ciebie bić się tu w kraju z nieprzyjaciółmi, bo tak dalej na żaden sposób ostać się nie może.

Czekał więc Tomcio na tę porę i sposobność, a tymczasem ukradkiem w puszczy leśnej zaprawiał się i na daleką odległość do celnego strzelania ze swej pojedynki. Skutkiem tych strzałów było znowu nagromadzenie w komórce domowej cennych skórek kun, rysi, borsuków a nawet wyder upolowanych przezeń w leśnym strumieniu. A że miał chodzić wedle pszczoł, więc pomagał też ojcu i w ogrodzie i w podbie-raniu miodu z barci, oraz osadzaniu nowych rojów pszczelich, podczas gdy brat jego Wojtuś głównie zajmował

się poszukiwaniem w lesie i polu bursztynu, w miejscach, gdzie spalone przed wiekami drzewa żywiczne, przykryte za czasem ziemią, przetrwały ową żywicę w bursztyny, którą chętnie kupowano w Warszawie i w Prusach.

Gazety ówczesne donosiły, że legie nasze prędko stawały i już liczyły każda po kilka tysięcy. Można więc było mieć nadzieję, powrotu ich do ojczyzny i to nie z gołemi rękami.

We Włoszech toczyła się wojna z Austryakiem. Dąbrowski już układał, jak będą jego wojacy wracali do Polski, a żołnierze z radością śpiewali wojennego o Dąbrowskim mazurka, co szedł złączyć się z narodem.

Ale złączenie to jeszcze nie rychło nastąpiło, boć to najczęściej człowiek tak, a Pan Bóg inac; podobnie i nadzieje Polaków spełzły na niczem, gdy Francuzi z Austryakami pokój zrobili, a o nas ani wspomnieli. Wprawdzie ten pokój trwał niedługo, znowu wzięli się Francuzi do broni, ale już nie z samymi Austryakami lecz i z Rosyanami. Teraz gorzej naszym się powiodło: dużo we Włoszech wyginęło naszej wiary, mało co przedarło się do Francyi.

We Włoszech pobito Francuzów dla tego, że nie mieli dobrego dowódcy. Dopiero kiedy Napoleon Bonaparte, co z małego oficerzyny, ubogiego szlachetki, wyrósł na generała i sławnego wodza, powrócił z Egiptu, gdzie pobił Turków, wszystko się odmieniło. Został on też następnie Cesarzem Francyi i zawojował pół świata.

Otóż legiony nasze, widząc takiego wojownika, nabrały nowej otuchy i zaczęły się na nowo formować; znowu Dąbrowski i Kniaziewicz po odniesionych zwycięstwach nad Austryakiem, cieszyli się, że w ślad za zwyciężskimi orłami francuskimi i nasz biały orzeł poleci do Polski, a żołnierz przymierając nieraz głodu, śpiewał sobie: „Marsz, marsz Dąbrowski z ziemi włoskiej do Polski.“

Ale jeszcze nie zajaśniało nam słońce; bo i ten raz w r. 1801 nastąpiła zgoda, — a nam za naszą krew, za nasze rany, nędzę wycierpianą w usługach dla Francyi, nawet nie powiedziano: Bóg zapłać. Nie dosyć na tem: Napoleon, człek kamiennego serca, zmusił Polaków bić się ze zbuntowanymi murzynami za morzami na wyspie Ś-go Dominika. Wyginęło tam od

zatrutych strzał murzyńskich, i od żółtej febry przeszło 4000 naszych.

Gdy się o tem wszystkim rodzina Kuwików dowiedziała z opowieści ludzi i z gazety, którą im odczytywał Tomcio, jednym, głośnym jękiem przyjęła tę nieszczęsną wiadomość. Stara Kuwikowa łzami się zalala, a Tomek z wielkiego żalu i gniewu tylko zaciskał pięści i milczał.

---

### ROZDZIAŁ III.

---

Kiedy Polacy całą nadzieją i sercem byli z legionami, w kraju, jak się [to rzekło, nowi panowie zarządzili. W Rosyi nastąpił po Katarzynie cesarz Paweł, jej syn, a choć również dziwaczył, przecież czuł, że krzywda działa się polskiemu narodowi. Zaraz też wypuścił Kościuszkę, Kilińskiego, Niemcewicza i innych z więzień petersburskich, a nawet z Sybiru, gdzie poprzednio wielu na wygnanie wysłano.

Nadszedł rok 1806, kiedy nasz młody Kurpiak został już od dwóch lat pełnoletnim; było to pod zimę, gdy władze pruskie zarządziły pobór rekruta z tej części Polski, którą zadrąpali.

Landrat z Ostrołęki posłał swoich knechtów policyjnych i oddział huzarów, aby wybrali rekruta w całej Myszynieckiej puszczy. Ale ani jednego popisowego nie zastali w domu; rozproszyli się dookoła, że śladu nie było, gdzie znikli. Rozłoszczeni Prusacy kleli po swojemu na czem świat stoi: „Blitz, Donner Wetter! ferfluchte Polaken!“ \*) i z niczem do pana Landrata wrócili.

Oczywiście i naszego młodego Kuwika nie znaleźli w domu. Landrat wyznaczył sztrafy to jest kary pieniężne na rodziców, których synowie uszli przed poborem; ale Kurpie nie kwapili się jakoś z pieniędzmi.

Gdzież się ci popisowi ukrywali? gdzie podział się nasz Tomasz? Ha! puszcza szeroka i głęboka, a co do naszego zbiega, to we dnie przebywał w znanych mu dobrze gęstych kniejach, a na noc zachodził do domu dla ciepłego posiłku i przespania się na sianie w stodółce.

---

\*) Po polsku: Niech jasne pioruny trzasną w te przekłętą Polaki!



Jak między apostołami znalazł się Judasz, tak i pomiędzy poczciwymi Kurpikami wyrósł jeden wielki niecnota i zdrajca. Był nim młody chłopiec prawie w latach Tomka, niejaki Wincenty Mroczek.

Musimy tu choć kilka słów o jego młodocianych latach powiedzieć. Ojciec gajowy, ze wsi Kadzidła, wcześniej go odumarł, zostawiwszy młodą żonę, kobietę niezaradną, w dość biednem położeniu, a z nią i kilkoletniego Wicusia. Żona zamiast pogodzić się z wolą Bożą i wziąć się szczerze do roboty, zaczęła z rozpaczy pić. Wcześniej też nauczyła synka swego zaglądać do kieliszka i zanadto pieściła, pozwalając mu na wszystko.

Chłopiec, zaledwie mając lat 10, znęcał się, najczęściej po pijanemu, to nad ptaszkami, które z gniazd wykrecał i wypalał im oczy i cieszył się, jak biedny ptaszek nie widząc świata, zataczał się do kola, a fruńawszy, rozbijał sobie główkę o ścianę chaty lub drzewinę.

To znowu śmiał się do rozpuku, jak młoda wieiórka, której łapki ze swawoli przyciął, krwawiąc, przewracała się po ziemi.

Nieszczęsna matka na gorzałkę wyprzedala już wszystko z domu, co jej po mężu pozostało, a gdy się chciała napić z synkiem, i brak było pieniędzy, patrzyła przez szpary, jak synek podkopywał ukradkiem rzepę, brukiew lub ziemniaki z cudzego pola i sprzedawał to na wódkę w Myszyńcu. Czasem udało mu się i zatłuc gdzie w polu cudzą gęś lub kure.

Gdy sąsiedzi gromili matkę, że nie posyła synka gdzie do roboty, niebaczna kobieta odpowiadała:

— To jeszcze takie młode! niech-ta więcej podrośnie, a zresztą ktoby się mną biedną sierotą w domu opiekował!

Był Wicek powinowaty z Kuwikami i często ich odwiedzał, a z Tomciem w sposób uprzykrzony do boru na polowanie chadzał. Ale gdy coraz gorsze wieści o nim dochodziły do uszu Kuwików, i gdy raz wykradł z gołębnika Tomciowi aż kilka par gołębi, stary Kuwik zabronił mu pokazywać się więcej w swym domu, a i Tomcio zerwał znajomość dalszą z młodym okrutnikiem, pijakiem i złodziejem.

Teraz gdy Prusacy poszukiwali zbiegów rekrutkich w puszczy, podły Wicek, mszcząc się przytem na Tomku, poszedł do Landrata i otrzymawszy wyna-

grodzenie pieniężne, wskazał mu miejsce, gdzie się Tomek w boru ukrywa. Na szczęście pisarz bartny podpatrzył Wickę, jak się nocą umawiał z pruską policją, wymiarkował, że coś się w tem złego święci i zawczasu ostrzegł starego Kuwika i innych o tajemnych zмовach nicponia.

Natychmiast Wojtuś zapadł w puszcę i odszukawszy brata, skłonił go do tego, że miejsce ukrycia w porę zmienił. Prusacy go nie znaleźli; ale podobno paru innych ukrywających się w boru przed poborem uchwycili. Wicek na czas pewien zniknął z domu, i nikt nie wiedział, gdzie się obracał.

Tak upłynęło dni kilka podczas ukrywania się Tomka w nowej kniei, gdy pewnego poranku przygramolił się tam brat jego starszy, co to chromał na nogę, począł kukać i nawoływać jakoś odważnie Tomka.

— A co tam takiego? — ten zapytał, wyszedłszy z gęstwiny.—Co się stało?

— Pójdź do dom śmiało, — objaśniał go brat— Prusacy jak zające uciekają do Prus!

— Co ty mówisz? jest że to prawda?

— Prawda, jak mi Bóg miły, uciekają na Choźele ze wszystkimi manatkami swojemi.

Istotnie, po zwycięstwie Napoleona pod Pułtuskim, Prusacy jak niepyszni od nas umknęli, aż się za nimi kurzyło!

Upłynęło znowu dni kilka. Zima już na dobre się rozwinęła i pokryła śniegiem, niby białymi festonami, odwieczne drzewa puszczy Myszynieckiej. Mróz co dzień się wzmagał, po borach rozlegało się nocą wycie wilków, śnać, zgłodniałych.

Jednego mroźnego poranku, gdy słońce grudniowe słabo grzejące, przedzierało się przez konary sosen, brzoź i modrzewiów, a na śnieg rzucało całe garści brylantów, nasz młody Kuwik wyszedł ze swą dubeltówką w las, by, znać, upolować jakiego szaraka lub sarnę na zbliżające się święta Bożego Narodzenia. Szedł tak leśną drożyną, gdy naraz usłyszał przed sobą rozlegające się rozpaczliwe krzyki: „A hu! a hu! ratunku, kto żyje!”

Poskoczył szybko naprzód ze strzelbą w rękę Tomek, a widząc, jak trzy wilki opadły jakiegoś wędrownego dziada, obciążonego torbami i broniącego się kosztorem ze skórką jeża na końcu, wypalił ze swej dwururki w tego napastnika, który wskoczył na piersi

biedaka i darł się ku jego gardłu. Kula utkwiała w zadzie wilka tak, że ten, harcząc, runął na ziemię.

Drugi wilk prawie jednocześnie dobierał się do pleców żebraka, a trzeci z rozwartą paszczą także sunął ku niemu. Znać, musiały być bardzo zgłodniałe, kiedy ich nie odstraszył huk wystrzału od spodziewanej uczty. Nasz młody Kuwik, krzyknawszy na tego drugiego z zamierzoną kolbą, oderwał go od pleców napastowanego na to tylko, aby mógł bezpiecznie doń strzelić. Rozległ się strzał i wilk ugodzony w sam łeb, padł na mech nieżywy. Trzeci wilk, widząc, co się stało z jego kamratami, przystanął pod krzakiem nieopodal, wyszczerzywszy wrogo ostre, białe zęby. Tomek miał w pogotowiu wzniesioną do góry kolbę strzelby, a widząc, że ów drugi, położony wilk nie rusza się, szybko nabił broń na nowo, a tymczasem ów trzeci, płowy napastnik, umknął i zapadł w gęstwinie puszczy.

Wtem rozległ się na leśnej dróżynie z głębi boru śpieszny tętent kilku koni. Za chwilę stanęło przed Tomkiem kilku czterech polskich jeźdźców. Z wybitnych oznak dwaj pierwsi wyglądali na oficerów, a dwaj inni, z tyłu jadący jako prości żołnierze. Ci oprócz lanc

nieli przy boku pałasze, a oficerowie oprócz pistoletów w olstrzach siodeł, byli zaopatrzeni także w błyszczące pałasze.

Pierwszy z oficerów, podjechawszy bliżej ku położonym na ziemi dwom krwawiącym wilkom i ujrzawszy młodego Kurpia z dubeltówką,—a dziada zestrachanego w poszarpanem odzieniu i obcierającego sobie rękawem krew z podrapanej piersi, domyślił się wszystkiego, co tu zaszło.

— Czołem! młody zuchu!—powitał go oficer.

Tomek ukłonił się, uchylając swego niskiego kapalusza, ustrojonego w czaple piórka.

— Słyszeliśmy,—dalej mówił oficer—dwa strzały i prosto przypędziliśmy tutaj, myśląc, że może się na co tu przydamy.

Tomasz opowiedział wkrótce o całym zdarzeniu, a także, kim jest i gdzie dom rodziców jego.

— Może panowie wstąpicie do naszej chaty ogrzać się i odpocząć, ztąd niedaleko — zapraszał Tomasz,—rodzice moi bardzo będą panom radzi.

— I owszem,—odpowiedział tenże oficer, widocznie w znaczeniu starszy — właśnie też do waszej kur-

piowskiej puszczy wybraliśmy się z umysłu, to i zasięgniemy u was języka w sprawie ważnej.

— Po zabite wilki przyjdzie tu brat mój starszy i służąca z nosidlami, żeby je zanieść do domu, a i wy, dziadku, pójdźcie też z nami—rzekł Tomek.

— Niech ci Bóg, młodzieńcze dobry i odważny, nagrodzi—rzekł dziadek—boś mnie obronił od pożarcia przez wilków—i starowina pociągnął za jezdzcami, którzy obok Tomasza jechali stępa. Konie, czując blisko siedzibę ludzką, głośno parskały.

W pół godziny stanęli wszyscy w pół-borku Kuwików. Tomasz z bratem umieścili konie gości w stajni; gospodarz uprzejmie powitał przybyłych rodaków, a żona jego zaraz nakryła stół czystym obrusem białym, w pasy niebieskie, który sama umiejętnie utkała. Zakrzętała się też zaraz w kuchence z ugotowaniem gorącego krupniku, usmarzonego w tygielku z miodu na tłuszczu ze słoniny i mocnej gorzalki. Postawiła go niebawem w dużym dzbanku zielonym, a obok jajecznicą ze skwarkami i cebulką na dużej, białej misie i bochenek rumianego chleba, dopełniały hojnego posiłku.

Zawijali go wygłodzeni oficerowie, aż im się

uszy trzęsły, i popijali gorącym krupnikiem, a w kuchni ten sam poczęstunek dostał się i dwom żołnierzom.

Na wieść o przybyciu do domu Kuwików jeźdźców polskich, zeszła się garstka sąsiadów, a między nimi dwaj podsędkowie, pisarz starosty bartnego i kościelny z Myszeńca, uchodzący tu za uczonego człowieka.

Po posiłku odezwał się do zgromadzonych starszy oficer:

— Ja jestem rotmistrz Zawadzki, a towarzyszę oto mój, namiestnik Szremer, obaj z korpusu generała Dąbrowskiego, który pod tę chwilę kwateruje w Łowiczu, gdzie ze szlachty wypełnia i formuje pułki jazdy. Prusaków wypędziliśmy już z Mazowsza i Wielkopolski. Dla formowania jak najspieszniej wojska polskiego, zwołano pospolite ruszenie zdatnych do oręża. W tym celu Józef Radziwiński, wejeweda gnieźnieński, jako pierwszy dostojnik—senator polski, wydał w dniu 2-im grudnia roku obecnego 1906-go list z odezwą, czyli uniwersał na pospolitą obronę.

Po tych słowach wyjął z zanadru papier, gdzie między innymi było tak napisane, co głośno odczytał:



„Niech każdy, kto może władać orężem, siada na koń, a najmniej niech z każdego domu jeden z synów czy braci zbrojno pod chorągwią, dla bronienia ojczyzny, na koniu stawa i jednego z sobą lub dwóch pocztowych wiedzie ubranych w wojewódzkim mundurze, krojem kurtek i czapek wojskowych. Z miejskich mieszkańców będą formowane kompanje kosynierów.“

— Mnie—mówił dalej rotmistrz Zawadzki,—polecił generał Dąbrowski i ksiązę Poniatowski, jako przyszły naczelnny wódz, zebrać z Łomżyńskiego służących dworskich i myśliwych z lasów i sformować z nich pułk strzelców. W tym celu oto przybyłem z panem namiestnikiem Szremerem i do waszej Myszyńskiej puszczy, gdzie, jak powszechnie wiadomo, Kurpie są celnymi strzelcami i ochoczymi zawsze do skrojenia kurty nieprzyjacielowi, jak się już ongi wslawili, przetrzepawszy tu należycie Szwedów Karola XII-go. Daj Boże! żebym tu znalazł dobry początek.

— I znajdzie go pewnością pan rotmistrz,—odezwał się ojciec Kuwik. — Ojczyzny ze wszystkich sił bronić będziemy!

— Tak, tak, znajdują się ochotnicy w naszej puszczy dookoła,—odezwali się niemal jednocześnie obecni



Tadeusz Kościuszko.

sąsiedzi, a młody Kuwik dodał—ja pierwszy wsiądę na koń!

— A! widzi pan rotmistrz, — rzecze z zadowoleniem gospodarz,—już z mego syna pierwszy ochotnik, a dawno rwie się do tego, i konika ma w stajence gotowego! poszczęć mu, Boże!

— Niech się tak sprawiać będzie wasz junak z Prusakami i wszelkimi wrogami, jak dziś oto, z tymi wilkami, cośmy je w lesie widzieli,—rzekł z uśmiechem namiestnik Szremer, — a wielu z nich nie powróci już pod pierzynę do domu.

— Dzięki Bogu! dzieciuch z niego odważny i jaskółki w lot kulkami strąca, — odparł stary Kuwik.

— Znajdzie tu pan Rotmistrz więcej takich — zauważył jeden z podsędków, ubrany tak samo jak inni w kurpiowską sukmanę.

— A ja poproszę księdza, żeby o tem ogłosił z ambony,—dodał kościelny.

— Poprosimy i o to,—rzekł starszy oficer.

Rotmistrz i namiestnik podali dłonie Tomkowi, na znak, że go już za swego podkomendnego uważają, a podziękowawszy za gościnę gospodarzom, udali się

w swej sprawie dalej, do starosty bartnego i do nadleśnych w puszczy, a też i do niektórych okolicznych dworów. Ochotnicy mieli naznaczony punkt zborny w Myszynie.

Zaraz po wyjściu oficerów z ich dwoma ordynansami, Tomek pobiegł do kowala, co mieszkał we wsi Kadzidło, aby mu okuł ostro długą lancę, szablę swoją podostrzył na toczalniku, opatrzył ją w potrzebne rzemienia do przypasania, czyli w pendency i ładownicę do nabojów przyrządził sobie, a kulbakę na konia też narządził, co ją miał w komorze jeszcze po dziadku, który walczył za kraj ongi przy konfederatach Barskich tak nazwanych od miasteczka Baru na Podolu, gdzie się orężnie z sobą związali.

U Starosty Bartnego, gdzie się też zebrała garść bartników i leśniczych, opowiadał rotmistrz Zawadzki o tem, jakto wielki wódz cesarz francuzki Napoleon, pobiwszy do cna Prusaków pod Auersztadt i Jeną, szedł ku ziemiom polskim z wielką swą armją. Jenerał Dąbrowski za jego wskazaniem wkroczył z legionami polskimi do Wielkopolski, gdzie jest miasto Poznań, gdzie też był i on rotmistrz, podówczas jako adjutant Dąbrowskiego.

— Ach! cóż to była—mówił — za radość w Poznaniu a potem w Warszawie z naszego przybycia do kraju! Lud klęczał przed końmi naszymi, całował ręce swych obrońców, i każdy, kto czuł się przy siłach, porrywał za broń i stawał w szeregach, pewny, że przyszła już pora wyswobodzenia Ojczyzny.

Opowiadania tego wysłuchał nader ciekawie i nasz młody Tomek, gdy na chwilę wstąpił do mieszkania starosty.

Tymczasem gdy się gromadzili Kurpie ochotnicy z całej puszczy Myszenieckiej, z okolicznych wiosek: Dobra, Przysań, Nowa-wieś, Wyszel, Mostowo, Mostówek, Glinki, Krasnosielsk, Różany, Kadzidło, a też z Myszeńca i Nowogrodu,—ów Napoleon, stawszy się panem całych Prus, mógłby je do cna zniweczyć. Ale, zjednany przez piękną królowę pruską Ludwikę, nie zrobił tego. Jenó naglony przez zniechęconych już wodzów polskich, że nie wskrzesza polski, za którą dla niego, Napoleona, krew swoją leli, zamiast całą oswobodzić Polskę, zawarł z cesarzem rosyjskim Aleksandrem I, z którym wojował,—układ i pokój w mieście Tylży roku 1907, i tam jedynie ze skrawka dawnej wielkiej Rzeczypospolitej Polskiej, który zagarnęli

Prusacy, utworzył Księstwo Warszawskie. Należała do niego Wielkopolska z Poznaniem i Kaliszem, a też Mazowsze z Warszawą.

Księstwu temu nadał Napoleon prawa konstytucyjne, to jest takie, że naród sam sobie wybierał swój rząd krajowy, a wybrani posłowie zbierali się na sejmie w Warszawie, gdzie ustanawiali niższe zarządy krajowe, oznaczali podatki i dla wszystkich jednakowe stanowili prawa sądowe. Przytem konstytucya ustanowiła stałe wojsko polskie, którego naczelnym wodzem został mianowany książę Józef Poniatowski, a księciem Warszawskim Napoleon nazaczył Fryderyka Augusta króla Saskiego; zaś panem Księstwa pozostał zawsze on, cesarz Napoleon, od którego książę Warszawski rozkazy odbierał. Naród jednak myślał i miał otuchę, że to dopiero początek odrodzenia całej Polski...

Otóż nasz młody Kurpik, pożegnawszy się dnia jednego z ojcem, zapłakaną matką i bratem Wosiem, siadł na swego niewielkiego ale krzepkiego mierzynka i jako całkiem wyekwipowany konny strzelec, znalazł się niebawem z drugimi w Myszyncu, w punkcie zbornym. Było tych ochotników kurpiowskich, a też parę

kompanii kosynierów, razem do ośmiuset ludzi. Rotmistrz Zawadzki zostawił był w Myszyncu kaprała, który ochotników uczuł musztry, wojskowych obrotów i konie ich ostrzeliwał, by się wczasie bitwy nie strachaly.

Rzecz szczególna, że między tymi młodymi ochotnikami, żadne oko nie dojrzało również młodego i krzepkiego Wicka Mroczka. Znikł on gdzieś pod tę porę i przepadł, zapewne na niedługo, jak kamień w wodę.

— Widno, boi się powąchać prochu ten tchórz wierutny!—Ale do osłepienia ptaków i dręczenia zwierząt zuch nielada! — A ktoby dla siebie i dla matuli gorzałkę przynosił?—Ktoby kradł, jakby poszedł na wojnę bronić kraju?

Tak sobie ci i owi podrywiali z nicponia, gdy go nie widziano w szeregach ochotników robiących obroty wojskowe na Myszynieckim rynku.

W tym Myszyncu, który ze wsi stał się miasteczkiem, była dość obszerna kaplica; dla poczciwych Kurpiów jeszcze w XVII stuleciu pobożna królowa polska Marja Ludwika żona Jana Kazimierza i osadziła tam misyonarzy ze zgromadzenia Jezusowego. Wprawdzie wtedy, kiedy rzecz się nasza dzieje,

rozpoczął już budowę murowanego, pięknego kościoła starosta Ostrołęcki Jan Kos, ale nabożeństwa odprawiały się jeszcze w kaplicy.

Otóż, było to już po Godach, w kaplicy owej odbywała się msza św. na intencję ochotników. Już oni wpierw, idąc śmierci zajrzeć w oczy, wyspowiadali się i komunję świętą przyjęli, a na nabożeństwo zgromadziło się z puszczы wiele ludzi, tak, że większa część nie mogąc się pomieścić w kaplicy, modliła się na dworze pod jej ścianami. Byli tam starcy i dzieci, kurpianki mężatki i ich córki, ubrane w krótkie, zimowe sukmanki, w spódnice wełniane o pasach kolorowych, własnego wyrobu.

Zwłaszcza dziewczęta były jak zwykle ładnie przystrojone; z pod szyi koszule bielutkie wyglądały, czerwoną lub modrą wstążeczką związane; włosy spadające na plecy, splecione w dwa długie warkocze, zakończone wiązadłami ze wstążek różnokolorowych, a na szyi miały sute sznurki paciorków szklanych, głównie bursztynowych, wielkich jak orzech włoski i polyskliwie wyszlifowanych, boć wiadomo, że w Ostrołęckiem o bursztyn nie trudno.

Starsze i młodsze kurpianki miały, jak to i teraz



widzimy, bardzo zręcznie ułożone chustki na tekturowej podkładce, w kształcie gładkiej korony.

Na nabożeństwie tem byli także rodzice i brat naszego młodego ochotnika.

— Bądź w życiu i w tej sprawie roztropny jak wąż, a mężny jak lew, i niech cię Bóg ma w swej opiece,—przemówił na pożegnanie stary Kuwik do syna, który całował ręce rodziców.

Matka ze łzami w oczach żegnając swego ukochanego Tomcia, zawiesiła mu medalik z Matką Boską Częstochowską na szyi i wsunęła w garść woreczek z tałarami srebrnymi. Inne matki obdarzyły też, czem mogły, swych synów na drogę, i wreszcie po spożyciu w domach rynkowych obiadu, przy okrzykach ludu i trąbek kaprała cały oddział ochotników z tęgiemi minami i śpiewie wojacko-ojczystym:

„Od Warszawy do Krakowa,  
Wszędy droga nam gotowa.  
Hej! chłodno i głodno,  
Żyjem sobie swobodno!“—

wyruszyli w pochód. Przyszedł bowiem rozkaz z Ostrołęki, ażeby przyśpieszono wymarsz.

W tem mieście uczynił przegląd rotmistrz Zawadzki, któremu za pomyślne zebranie ochotników naczelny wódz książę Józef Poniatowski oddał dowództwo nad oddziałem konnych strzelców kurpiowskich, jako ich pułkownikowi, a namiestnik jego Szremer został majorem.

Zrazu rozmieszczono ochotników wzdłuż granicy pruskiej, zanim, jakto się następnie dowiemy, powołano ich do Warszawy. Teraz zaś pilnowali granicy i już niejednokrotnie staczali utarczki z napastniczymi Prusakami.

---

## ROZDZIAŁ IV.

---

W tem nowem Księstwie Warszawskiem i po za granicami jego mieliśmy już wojsko liczne, bo dochodzące do 90 tysięcy, ale cóż? kiedy musiało się ono wystugiwać Napoleonowi, nawet iść do Hiszpanii i tam Hiszpanów, co nam nic złego nie zrobili, tylko się bronili, wojować. A bili się i tam mężnie nasi, cudów waleczności dokazywali, myśląc, że przyjdzie czas, a cała Polska przy pomocy Napoleona znowu się zrośnie i będzie wielka jak dawniej.

Po wojnie prusko-rosyjskiej Napoleon zadarł znowu z cesarzem austriackim Franciszkiem. Pod tę porę wojska polskiego mało mieliśmy w kraju; większa jego

część jako Legja Nadwiślańska piesza i jako konni ułani, walczyła wciąż przy Napoleonie tak w owej Hiszpanii, jak i w Niemczech i Austrii, a wielu też naszych stało załogą po zdobytych miastach i twierdzach.

Tak upłynęło nie całe dwa lata i skoro tylko wojna z Austryą na nowo wybuchła, z rozkazu cesarza Franciszka krewny jego arcyksiążę Ferdynand, żeby przeszkodzić łączeniu się Polaków z Francuzami, a może też żeby znowu zadrapać nowy kęs polskiej ziemi, puścił się z 40 tysiącami wojska na Warszawę. Po drodze armja jego rabowała i niszczyła kraj; miał bowiem na tyłach liczne hordy Wołochów i cyganów, które były jedyne do łupiestw, zabierania dobytku i palenia dworów!

Sporo tego plugactwa wycięli i nasi ochotnicy kurpiowscy wraz z młodym Tomaszem, przysłani z pod Warszawy dla gromienia tych rabusiów; część ich padła, a większa część umknęła pod osłonę armii Ferdynanda.

. Mała garstka, bo tylko ośm tysięcy Polaków, zastąpiła drogę czterokroć liczniejszemu nieprzyjacielowi pod Raszynem, wioską, o dobrą milę od Warszawy. Sprawiała się tam dzielnie, bo arcyksiążę po siedmio-



Książę Józef Poniatowski spotyka się z księciem Ferdynandem, wodzem wojsk  
austriackich, po bitwie pod Raszynem.

godzinnej bitwie, osadzony na miejscu, nie śmiał iść dalej. Okrył się tu nieśmiertelną cbwą! wódz nasz naczelny, waleczny książę Józef Poniatowski. Zginęło w tej bitwie nieprzyjaciół 3700, a i naszych do 1200 rannych i zabitych ubyłó. Bitwę pod Raszynem stoczył nasz bohater Poniatowski 19 kwietnia 1809 r.

Nie mogąc jednak do cna pobić napastników szczupłą swą garstką, książę Józef cofnął się pod wieczór niezaczepony pod wały i okopy stolicy usypane z ziemi. na nowo przez lud warszawski i obsadzone armatami. Po zawieszeniu broni na 24 godziny, jeszcze tej samej nocy arcyksiążę zeszedł się z księciem Józefem pod namiotem w okopach warszawskich.

Winszując księciu waleczności jego wojska, w którym połowa była nieotrząskanych w boju ludzi młodych, wyraził Ferdynand chęć zawarcia pokojowego układu, a to dla oszczędzenia dalszego rozlewu krwi. Objawił życzenie, aby mu książę Józef pozwolił na czas pewien spokojnie zająć Warszawę, a sam usunął się z całym wojskiem za rzekę Wisłę, zabrawszy z sobą wszystkie działa, zapasy oręża, amunicyi to jest prochu i kul, oraz żywności.

Książę Poniatowski, rozważywszy liczbę swego

wprawdzie dzielnego i ochotnego, ale bądź co bądź bardzo szczupłego wojska, a przytem uważając, iż przy zaciętej obronie w okopach mogłaby Warszawa uleść zniszczeniu od kul armatnich Austryaków, odłożył w myśli na później rozprawę z najeźdźcami i zawarł piśmienny układ pokojowy z arcyksięciem.

Na ustąpienie z wojskiem i zapasami wszelkiemi na obronną Pragę zawarował sobie dwie doby czasu, a przytem arcyksiążę zobowiązał się nie strzelać z dział za Wisłę, a rannych, leżących po szpitalach ochraniać i po wyleczeniu dostawiać na Pragę. Dalej: zobowiązał się nie nakładać żadnych ciężarów i opłat kontrybucyjnych na mieszkańców Warszawy, zapewnić im bezpieczeństwo i spokój, a kraj od zniszczenia przez hordy niesforne ochronić.

Wskutek tego układu książę Józef przeszedł bezpiecznie z wojskiem na Pragę i most łyżwowy za sobą zciągnął. Wojsko zaś Ferdynanda bez szumu żadnego zajęło Warszawę.

Pułki polskie pełne zapału i ochoty do dalszego boju z wrogiem, zaledwie się dały księciu namówić, żeby opuściły okopy, a mieszkańcy smutni pozamykali się w domach, pozasłaniali okna, tak, że tylko 20 ży-

dów i garstka Prusaków pozostałych w mieście z dawniejszego czasu, powitali wkraczających z muzyką Austryaków okrzykiem przy kolumnie króla Zygmunta. Wódz ich objął kwaterę w dawnym królów polskich zamku.

Poszła bardzo w niesmak generałom austriackim ta obojętność mieszkańców stolicy.

Niebawem układ podpisany przez siebie począł gwałcić sam Ferdynand; namiestnik jego i komendant miasta nakazali z jego rozkazu dostarczyć dla swego wojska 6 tysięcy płaszców, tyleż kaszkietów i reszty ubrania, a na miasto nałożyli 400 tysięcy złotych kontrybucyi. Kazali przytem dla swego wojska dostarczać regularnie mięsa, piwa i gorzałki. Niedługo też zabierali na swój użytek ze stolicy i z całego Księstwa konie, woły, wozy, a Cyganie i Wołosi po dawnemu palili wsie, dwory, zarzynali bydło, nawet drzewa owocowe wycinali i palili. Jęczała Warszawa, jęczył kraj nieszczęśliwy pod nowym uciskiem!

---

Wróćmy się jeszcze na chwilę do owej bitwy pod Raszynem. Otóż gdy noc zapadła około godziny



10-tej, wolno było bez przeszkody z obu stron zbierać z pola bitwy rannych, dawać im zaraz na miejscu opatrunek i przewozić do szpitali. Z Warszawy dużo miłosiernych osób na ochotnika wybrało się bryczkami, wolantami i prostymi wózkami pod Raszyn, aby rannymi żołnierzami naszymi zaopiekować się, a nawet poumieszczać ich w mieszkaniach miejskich, gdyż główny szpital wojskowy w pałacu Jabłonowskich (gdzie dziś ratusz), i inne lazarety były już przepelnione tak naszymi jak i austriackimi żołnierzami, bo jeszcze przed walną bitwą przywieziono do tychże lazaretów sporo ranionych huzarów i piechurów austriackich, wziętych do niewoli przez naszych w utarczkach około Raszyna i miasteczka Tarczyna; zachwycili ich nasi ułani i konni strzelcy kurpiowscy.

Między innemi, zaraz po zawieszeniu broni w nocy wyjechał wózkiem z Warszawy majster szewski, niejaki Ludwik Wąsowski, wraz ze swą siostrzenicą Anusią, córką rybaka, zupełną sierotą. On powoził, a ona wiozła z sobą paczkę szarpi, bandaży, a też butelkę wina i butelkę octu, przytem hubkę i różne plastry do zatamowania krwi, płynącej z ran. Wózek był cały równo sianem wypchany.

Zaledwie przy świetle księżycy skreśli z gościńca Raszyńskiego ku stawom wsi Falęty, gdzie również wrzała była bitwa, gdy usłyszeli głuchy jęk wydobywający się z pośród błotnego-zielska. Powożący majster Wąsowski zatrzymał wózek, a siostrzenica jego, wysiadłszy, [ujrzała przy bladym świetle księżycy młodego żołnierza, rannego kawalerzystę. Leżąc, z oczami zamkniętymi i od czasu do czasu wzdychając ciężko, garścią zerwanego zielska tamował sobie krew, obficie sączącą się z uda powyżej kolana. Słabą, znać, siłę miała dłoń jego, bo niekiedy przestawała cisnąć garść ziela, a wtedy krew mocniej z rany buchała.

Młoda rybaczka szybko wyjęła z wózka paczkę z szarpkami i bandażami, przy pomocy wujaszka prędko obmyła octem ranę od kuli zadaną, przyłożyła na nią hubkę i szarpie i mocno udo obandażowała. Przychyliła potem do ust rannego flaszkę z winem, którego tenże nieco zaczerpnął i skropiła mu skronie octem. Żołnierz z upływu krwi, a być może i z potłuczenia przy upadku z konia tak był osłabiony, że o własnej sile powstać jeszcze nie mógł z ziemi, i widocznym

było, że jeszcze chwila! a byłby biedak skończył z upływu krwi.

Podnieśli go oboje i ostrożnie na sianie wózka ułożyli, (widocznie i dziewczyna krzepką była), bacząc pilnie, ażali krew nie przenika przez bandaż.

Ponieważ na polach pokazało się i więcej wózków i felczerów z latarkami uwijających się na pobojowisku, przeto majster z siostrzenicą nie zabawiali się tutaj dłużej, bo też i śpieszno im było dać ratunek dalszy znalezionemu żołnierzowi. Zabrali na wózek znaną przy nim szablę z pochwy obnażoną i krwią zabarwioną, krucice i lancę obok leżącą na trawie. Koń tego kawalerzysty, pozbawiony jeźdźca, złączył się zapewne z innymi końmi.

Jadąc noga za nogą gościńcem radomskim do Warszawy, około północy stanęli przed kamieniczką o trzech piętrach na Podwalu, która na odrzwiach kamiennych u góry nad bramką miała wyryte na marmurze dwie litery z sobą powiązane L. W. i pod nimi rok 1772. Z tego widać, że dom ten (istniejący dotąd) był postawiony w nieszczęsnym roku pierwszego rozbioru Polski między Rosyę, Prusy i Austryę. Należał on do owego majstra szewckiego, który był synem

Ludwika Wąsowskiego, co ongi dom ten wystawił, i który też miał imię Ludwika.

Nie szukając wolnego łóżka w przepelnionych po brzegi szpitalach, dopomógł znowu Wąsowski przy pomocy silnej siostrzenicy zejść z wózka pokrzepionemu już nieco kawalerzyście i ułożyli go na wygodnem łóżku w alkierzu mieszkania samego gospodarza. Tam Wąsowski w domu swym własnym, w którym przez sień z drugiej strony miał i swoją pracownię szewcką, postanowił leczyć rannego żołnierzyka.

Siostrzenica jego, jak już wiemy, z imienia Anusia, miła szatynka, poprawiwszy przewiązki, czyli owe bandaże, choremu, zakrzętnęła się zaraz przy kominie w pierwszej izbie, aby mu ugotować, jako mającemu gorączkę, ziółka z kwiatu lipowego, a potem na pokrzepienie podała mu kilka jajek na miękko ugotowanych.

Raniutko poszedł pan majster do polskiego doktora wojskowego, co się zwał Hefele, a ten przybywszy, zarządził, co potrzeba, i maść doskonałą na gojenie ran przepisał, którą też Anusia z apteki przyniosła.

Rana przy starannym opatrunku siostrzenicy Wą-

sowskiego cudownie prędko teraz się goiła, albowiem kula karabinowa, przeszedłszy ukosem przez mięśnie uda, dotknęła tylko bardzo słabo pośluzem kości i wyszła drugą stroną.

Gospodarstwem domowem wujaszka zajmowała się, przy pomocy leciwej już służącej, skrzętna Anusia; wujaszek był bezdzietny, podżyły już dobrze wdowiec.

Upłynął tydzień czasu, gdy nasz żołnierz, człek młody, z natury silny, wydobrzył już o tyle, że podpierając się laską, przechadzał się zwolna i rozglądał się po kwiatkach, które tu na oknie, ku rozweseleniu chorego ustawiła w doniczkach Anusia.

Pewnego poranka, w niedzielę, dziewczę to, zawsze czyściutko ubrane, przyniosło choremu na śniadanie kubek piwa, zaprawionego śmietaną, kminkiem i serem w kostki pokrajanym, a też parę dużych grzanek z chleba, nasiąkniętych przy ogniu świeżem masłem i natartych czosnkiem.

Gdy się Tomcio pokrzepił, a Anusia przyszła znowu z drugiej izby uprzątnąć stolik z kubka i talerza, żołnierz ujął dłoń dziewczyny i pocałunek na niej serdeczny wycisnąwszy, rzekł:

— Czem ja się panie Annie za tyle dobrego wywdzięczę?

— Jak pan żołnierz do cna wyzdrowieje, to będzie najlepszem podziękowaniem — odpowiedziała.

— No, i modlić się będę szczerze, aby Pan Bóg dał panie Annie życie szczęśliwe.

W tej chwili drzwi się otworzyły z sieni do pierwszego pokoju. Weszło trzech mężczyzn: jednym był pan majster Wąsowski, z rogatywką na głowie, którą zdjął wchodząc, ubrany w długi żupan szamerowany, z pętlcami przy guzikach, — drugim, kum jego Andrzej, bo tak go mianował gospodarz, podobnie w długą czamarkę ubrany, a trzecim o siwym wąsie i długich włosach, w rogatywce na głowie, sędziwy znać wojak, bo miał piękną karabelę u boku, a żupan również szamerowany, był przewinięty szerokim pasem przeplatany złotymi szlakami na tle zielonem. Wszedłszy, przeżegnał się wodą święconą z kropielniczki, co na ścianie przy drzwiach wisiała, i pochwalił Imieniem Jezusa Anusię.

Gospodarz odezwał się:

— Proszę pułkownika i kuma Andrzeja dalej, do pokoiku naszego żołnierzyka.

Weszli, nie dając powstać osłabionemu jeszcze młodemu gościowi, który siedząc na krawędzi łózka, obandażoną nogę ułożył sobie na niskim stołeczku.

— Anusiu! przynieś tu nam więcej krzesełek — rzekł gospodarz do siostrzenicy, będącej w pierwszej izbie — no! i gąsiorek miodu z piwnicy, i trochę twoich andrutów.

Gdy dziewczyna, zdjawszy klucze z gwoźdźca, poskoczyła do piwnicy, odezwał się znowu gospodarz:

— Panie żołnierzu! choćbym chciał was przed gośćmi nazwać z imienia, to nie wiem jeszcze, jak się waszeć mianujecie? Widzę tylko po waszem ubraniu, że do nas Mazurów nie należycie?

— Tak—odpowiedział zagadnięty—jestem ochotnik z puszczy kurpiowskiej, a nazywam się Tomasz Kuwik, panie majstrze.

— No, to ja teraz i wam, panie żołnierzu, oznajmie, że nawiedził nas oto łaskawie sławetny obywatel tutejszy i radny miasta Jegomość Jan Kiliński, dawny pułkownik „dzieci warszawskich“, mój drub i powinowaty, właściciel kamienicy na Wązkim Dunaju.

Tu wskazał sędziwego męża, co miał karabelę u boku.

— I dopowiedz, Ludwiku—dorzucił Kiliński, żem jako i ty, mospanie, był i jest szewcem z powołania — i uścisnął dłoń żołnierza, który unosząc się na łóżku, przyłożył dłoń do czoła, niby oddając cześć starszemu po żołniersku. A gospodarz mówił dalej:

— A oto jeszcze mój sąsiad Andrzej, bednarz z ulicy Gołębiej, dawny setnik miejskiej gwardyi, mój kum ukochany, a przyszedł także pana żołnierza odwiedzić.

Podali sobie ręce bednarz i żołnierzyk, a Kiliński, usiadłszy na krzeselku, które przyniosła była Anusia, zagadnął:

— I jakże to tam, panie żołnierzu, było z wami pod Raszynem, żeście się tutaj dostali? Przyglądałem się wprawdzie onego sławnego popołudnia, mospanie, wraz z innymi, przez szkło powiększające perspektywy z krążganku na wieży kościoła ewangelickiego owej bitwie Raszynskiej i wsłuchiwałem się w huk armat i strzały karabinowe. Ale na wielki żal mój, siły star-gane ranami i niewolą nadwątlone nie dozwoliły mi iść tam walczyć z wami...

Tedy, mospanie, z wieży widziałem krwawą lunę,



palących się Falet; ale w jakiejże to okazji, mości żołnierzu, poczęstował cię Austryak w nogę?

— Ha! spotkało mię to właśnie przy stawie Fałęckim. Gdy nasz oddział kurpiowski, więc i ja z nim, rzucił się na zachodzące nas z tyłu oddziały huzarów i piechoty, które posiekaliśmy na kapustę, bo zakłuliśmy lancami, nabili kulami z naszych króć i nasiekli szablami sporo, a 80-ciu zajęliśmy do niewoli...

— Właśnie widziałem, jak ich prowadzili nasi przed wieczorem Alejami Jerozolimskimi — odezwał się majster Andrzej.—Ale przepraszam, żem przerwał opowiadanie.

— Tak, Panie Święty — prawil dalej nasz młody wojaczek — staliśmy potem na drodze ku Faletom i oczekiwali dalszych rozkazów. Bitwa głównie toczyła się między błotami i lasami, zrazu armaty najwięcej czynily i nieprzyjaciel niezmiernie był rażony od naszej artyleryi, pod dowództwem młodego Włodzia Potockiego. Bywały chwile, że sam książę Józef zsiadał z konia i kierował celnie paszczami armat.

Tu przyniosła Anusia gąsiorek miodu, szklanki i sławnie przyrządzone przez siebie andruty. Postawiła to wszystko na stoliku, szklanki nalala słodkim

plynem i wsunęła się do pierwszej izby. Gdy gospodarz trącał się szklanką kolejno z gośćmi, Kiliński, wznosząc w górę swoją, rzekł:

— Za zdrowie walecznego wodza księcia Józefa, i za pomyślność wojska naszego!

— Za zdrowie i pomyślność! — zawtórowali mu dwaj towarzysze wraz z Tomaszem, a majster Ludwik gładząc przystrzyżonego wąsa, dodał:

— Na zgubę i hańbę tym wiarołomnym pludrom!

— Ano! — obtarłszy usta od miodu — mówił znowu nasz Tomek — nieprzyjacielowi udało się wziąć lasek pod Faletami i ugrzęzłe w nim dwa działa nasze, a też zachwyił przy nich jenerała naszego Pelletiera. Wtedy ksiązę Józef krzyknął do nas Kurpiów: „Dzieci! do ataku od prawej, marsz!“, i na sukurs przysłał nam pluton ułanów. Uderzyliśmy w ośmset ludzi piorunem na piechotę i jazdę austryacką, co z prawego brzegu broniła lasku, a ksiązę wśród kul nieprzyjacielskich zsiadł z konia, pochwycił karabin z nastawionym bagnetem z rąk rannego piechura i na czele dwóch kompanij lekkiej piechoty rzucił się w lasek, któryśmy właśnie z drugiej strony zaatakowali.

Wyparł Austryaków z lasu, kiedy my Kurpiacy tłucliśmy z drugiej strony ich konnicę; jenerała Pelletilra ksiązę uwolnił, ale uwięzłych dwóch armat z błota wydobyć już nie miał czasu.

A kiedyśmy z pod lasku wesoło zwracali się po dalsze rozkazy wodza, a było to już dobrze wieczorem, mnie jadącego w pierwszym szeregu od prawej, dosięgła jakaś zabłąkana kula. Za chwilę osłabłem, słyszałem tylko komendę daną z trąbki, ale poczęłem mdleć zapewne z utraty krwi; bo już ciepło poczułem w nogach, w oczach mi się zamroczyło i nieprzytomny spadłem z konia, co biegł z innymi kłusem. Musiałem się przytem w tym upadku potłuc, bo uczułem ból w kościach i nie zaraz oczy otworzyłem. Dla zatamowania krwi, zdołałem jeszcze zerwać około siebie trochę ehabzia i trawy i o ile mogłem, na ranę to przykładałem. Aż w końcu straciłem całkiem przytomność.

Tu gospodarz nalał znowu szklanki, mówiąc:

— Wypijmy teraz zdrowie naszego gościa, walecznego z puszczy kurpiowskiej wojaczka. Anusiu! — zawołał do czytającej w izbie książkę do nabożeństwa

siostrzenicy — przyjdź tu do nas ze szklanką wypić zdrowie naszego dzielnego żołnierzyka.

Gdy [dziewczyna przyszła i trąciła się nalaną szklanką z Tomaszem, ten rzekł:

— I ja pannie Annie życzę zdrowia, długiego życia i szczęścia, jakiego w Niebie zażywają Anieli, i bodajbym nie doczekał jutra, jeżeli wiem, [czem się mogę wywdzięczyć za to, że mnie panna Anna od niechybnej śmierci uratowała.

To rzekłszy, ucałował z uczuciem pracowitą dłoń kraśnej dziewczyny.

— Niema za co dziękować — ta odrzekła zapłonią niona niby kwiatek goździka polnego — zrobiłam to, coby na mojem miejscu każda polka uczyniła.

Uśmiechnął się na to wdzięcznie młody wojak, musnął sobie też jasnego, dopiero poczynającego rosnąć wąsika, mówiąc:

— Oby mi Bóg jak najrychlej dał zdrowie zupełne! — bo mi już cni się do swoich ziomeków, co tam ucierają się może teraz z tymi pluchami w polu. A co też tam słyhać na Pradze i tu w mieście, waszmość panowie?

— Tu w mieście źle, ale na Pradze i za Pragę

lepiej — objaśniał Kiliński. — Arcyksiążę i jego pomocnicy pastwią się tu nad nami. Namiestnik Arcyksięcia nakazał powtórnie dostarczać ich wojsku pod dostatkiem mięsa, jarzyn, piwa i wódki codziennie; z naszych komor celnych zabierają dochody, a w Warszawie i w kraju bydło, podwyższyli też podymne; wszystkie dochody z dóbr królewskich oddawać sobie nakazali, broń palną obywatelom odbierają, a szpiegi ich nurtują i oskarżają. Tak to układu, zawartego z księciem, dotrzymują!

— Wiarołomcy! — zawołał z oburzeniem majster bednarski — w dodatku przecie otrąbywali po placach, żeby mieszkańcy głośno nie rozmawiali po ulicach.

— Podli drapieżnicy! śmiaj jeszcze obłudnie żalić się — rzekł gospodarz — że Polacy [są im niechętni, że ich nie kochają, tak jakby ten, co go w męczarni na torturach wyciągają, mógł swoich katów kochać!

— Za to — pocieszał pułkownik Kiliński — nasz kochany książę Józef sprawia się gracko za Wisłą; ochotnicy do niego ze wszystkich stron się garną, prócz tych, których do pospolitego ruszenia wezwano. Na Pradze dla obrony fortecy ustanowił komendantem

dzielnego majora Hornowskiego, a sam z głównej kwatery swojej, z Modlina, wyruszył już pono na Podlasie, bijąc po drodze rozsiane załogi austriackie. Kilka dni temu, widzieliśmy z wież kościelnych przez szkła powiększające całą bitwę, jaką tam za Pragę pod Okuniewem i pod Grochowem stoczyli i pobili generała Mohra nasi generałowie Dąbrowski i Sokolnicki.

— Widziałem i ja tę bitwę ze wzgórzy ogrodu Tarnowskich — dodał pan Andrzej — jaka to tam siekanina była!

— Mówiono mi dziś na mieście — dorzucił gospodarz — że padło tam tych pludrów na boisku i utonęło w błotach do 600 ludzi, i że przeszło 500 jeńców z kilkoma oficerami dostało się w nasze ręce. Księżę Józef tego Mohra jak lisa wpędził w pułapkę.

— Przytem słyhać i piszą w gazetach — dodał Kiliński, — że cesarz Napoleon raz poraz haniebną kroi kurtę Austryakom, to pod Lintzem, to pod Ratysboną.

— To też komendant Hornowski, muzyką ośmnaśtu armat i lampami kolorowemi na wałach uświetnia te zwycięstwa. To wszystko, mospanie, bardzo mierzi naszego tu Ferdynanda; to też odgraża się i przysięga zemstę buntownikom polskim.

— Ha! ha! — buntownikom! — roześmieli się drwiąco słuchacze.

Z pobliskich czterech kościołów odezwały się dzwony, wzywające na sumę. Mężczyźni, powstawszy, pożegnali się z naszym Kurpikiem i poszli razem do kościoła katedralnego na Świętojańską ulicę.

Anusia opatrzywszy lampkę, gorejącą przed obrazem Matki Boski Częstochowskiej, wzięła z komódki książkę do nabożeństwa, a drugą podała Tomaszowi i wyszła za tamtymi do kościoła.

---

## ROZDZIAŁ V.

---

Oto, jak się ułożyły dalsze przygody naszego wojaczka. Podczas gdy tenże niecierpliwił się, że bezczynnie jest przykuty w Warszawie, dnia 27 kwietnia tegoż 1809 roku przez trębacza polskiego z Pragi przedłożono zamianę jeńców. Jedenastu tylko naszych pochwycili Arstryacy w świeżych utarczkach, lecz wypadłszy na miasto, schwytali ze 30-tu włóczęgów i pijaków; tych więc za równą liczbę austryackich wymieniono. Tomasz spodziewał się teraz z kolei swojego uwolnienia.

Tymczasem gdy książę Poniatowski z jenerałem Dąbrowskim posuwał się szczęśliwie naprzód w Lu-



belskie, arcyksiążę, rozgniewany, jak mówił, na hardych Polaków, postanowił całą siłą przeprowadzić się za Wisłę, opanować tam Pragę i puścić się w pogoń za księciem Józefem.

Czy mu się to udało, zobaczymy niebawem, a tymczasem wróćmy do kwatery młodego naszego wojaczka. W ostatnim dniu kwietnia rano odwiedził go znowu doktor Hefele, obejrzał zablizniającą się ranę, pochwalił jej przebieg, a że Tomasz prosił o jak najprędze wypisanie go na powrót do służby wojskowej, przeto przyrzekł mu nazajutrz to uczynić. Zalecił mu jeno przez czas krótki nie zdejmować jeszcze przewiązki z nogi.

Tomasz zajął się natychmiast czyszczeniem szabli, podostrzył ją nawet na osetce i wypolerował do czysta kłamrę mosiężną od pasa, na której był odlany orzeł biały. Pokazała się pod tę chwilę w izbie Anusia, która wróciła niosąc żywność w koszyku, z rynku Starego Miasta.

— Co się tak pan Tomasz galantuje? — zapytała z uśmiechem — czy się pan na przechadzkę po Warszawie wybiera?

— Nie na przechadzkę, ale na pochulanę — odpowiedział również z uśmiechem Tomasz.

— A na jakąż to?

— A! — ta pochulanka, moja dobra panno Anno, czeka mnie na Pradze w naszym obozie.

— Już? — zapytało z pewnym niepokojem dziewczę — czy panu u nas tak kliwo, nie dobrze?

— Ach! jak w niebie jest mi tutaj — rzekł wojak. Ale, cobym ja był wart, gdybym tutaj, już zdrowy, marniał w próżniactwie. a tam się rodacy bili?

Anusia, nic nie odpowiedziałwszy, westchnęła tylko z lekka i zadumana oskubywała, milcząc, kwiatek czerwony gieranii, który z doniczki zerwała.

Nazajutrz kapral austriacki Tomasza Kuwika wraz z drugimi, co wyzdrowieli, z rana krypą na tamtą stronę rzeki przewiózł.

Wdzięcznie i serdecznie zegnał Tomasz poczciwego Wąsowskiego i jego anielskiej dobroci siostrzenicę.

Tegoż dnia, w południe przybył do Wąsowskiego pułkownik Kiliński. Zaryglowali drzwi wchodowe i usiedli razem w izbie, gdzie Anusia była zajęta nadrabianiem pończoch. Kiliński opowiedział, że wie z pe-

wnością, iż Austryacy gwałtem budują most pontonowy pod miasteczkiem Górą o pięć mil od Warszawy, po którym przeprowią liczne wojsko, aby z Polakami stoczyć bitwę i szturmem zdobyć Pragę. Most ma być gotowy na 3-go maja, a Prusacy, co tu z dawniejszych czasów jedli chleb polski i różne przechrty, wskazali Austryakom drzewo budulcowe, które leżało ukryte, jako niegdyś przygotowane na domy kolonistów niemieckich.

— Tedy, mospanie,—mówił dalej,—spędzono cieśłów naszych, żeby na gwałt obrabiali belki na ów most.

— A zkadże wezmą pontonów pod most?—zapytał Wąsowski.

— Otóż to różne przedawczyki \*) — mówił dalej Kiliński,—odkryły skład z linami i żelazem, a przytem wydały ukryte nad Wisłą dawne pontony,—gabary i łodzie pościągali Austryacy z rzeki i przewoźnikom odebrali. Arcyksiążę nie posiada się ze złości na wiadomość, że książę Józef, parę dni temu, pod Siedlcami

---

\*) Niektórzy z nich potem z rozkazu księcia Józefa rozstrzelani zostali.

pobił sromotnie oddział Austryaków. Chce teraz to wszystko odemścić piorunem.

Tu zniżył głos i mówił dalej: a jutro w nocy na galarach Wisłą ma się przeprowić znaczny oddział piechoty austriackiej i ukryć w lasach, aby czasu bitwy pojutrze naprzeciwko miasteczka Góry, napaść z tyłu na naszych. Oddział ten ma wylądować naprzeciwko kępy Okrzeńskiej. Drugi oddział z generałem Mohrem, co się nocami przeprowił już pierwej, ma zasłaniać most z tamtej strony Wisły, aby ułatwić przeprowę drugiemu już gotowemu do wymarszu korpusowi. Cała w tem rzecz, mospanie, ażeby komendantowi Hornowskiemu dać zaraz znać o tych zamiarach nieprzyjaciela.

— A kto wam, mości pułkowniku o tem wszystkim powiedział?—zapytał majster Wąsowski.

— Wygadał się o tem podchmielony Hans kamerdyner grafa Najperga, z którym się na szklankę wina schodzimy nieraz w handlu Fukiera w rynku Starego Miasta.

— Ale jak tu dać znać o tem wszystkim na Pradze?—zauważył frasobliwie Wąsowski,—kiedy nad Wisłą stoją na warcie austriaccy strażnicy?

— W tem właśnie sęk nie lada, mospanie Ludwiku...

— Żadnego tu sęka nie będzie, — odezwała się Anusia, która całą tę rozmowę słyszała,—ja podejmuję się zanieść te ostrzeżenia na Pragę.

— A to jak? — zapytali jednocześnie wuj i pułkownik, — przecież Wisły jako ptak nie przefruniesz?

— A czyż to nie jestem córką rybaka, wychowaną nad Wisłą? Znam ją jak zły grosz, umiem pływać, a jak się trochę zmęcze, to na jakiej mieliźnie wypoczne, i potem dalej ukosem popłynę.

— A szyldwachy austriackie?—zauważył wojak.

— Będę udawała, że chusty piore, lub się chcę wykapać i ruul na wodę.

— Ha! to niech ci Bóg dopomaga, — rzekł majster Ludwik.

— Dzielna z ciebie dziewczyna! — zawołał radośnie Kiliński i jeszcze raz jej powtórzył, co ma donieść komendantowi Pragi.

---

## ROZDZIAŁ VI.

---

Gdy już słońce majowe, a było to w dzień pierwszy tego cudnego miesiąca, z pogodnego nieba poczęło się staczać zwolna poza wieże kościołów warszawskich, na samym końcu Czerniakowskiej ulicy pokazała się smagła dziewczyna. Niosła pod pachą obwinęty prześcieradłem wałek dość gruby, jaki zwykle noszą praczki, idąc do prania. Prześcieradło, co prawda, było stare i z dziurami.

Gdy się zniżała ku płaskiemu tutaj brzegowi Wisły, natknęła się na sztyldwacha, który z nastawionym bagnietem na karabinie stróżował w tem miejscu nad Wisłą. Wyszedł on z po za swojej budki umalowanej

w pasy czarno-żółte i dopiero teraz spostrzegła go owa praczka.

— „Wer da? (kto idzie) — zapytał po niemiecku.

— „Gut Frajnd!“ (swój) — zdobyła się na tyle dziewczyna z odpowiedzią w tymże języku, a potem, znać na chybił trafił! rzekła już po polsku:—czy pozwoli mi pan żołnierz wyprać tu w bieżącej wodzie bieliznę?

Natrafła na Polaka, bo tenże odpowiedział również po polsku:

— A! to sobie wypierz, wody w Wiśle nie brakuje—i pomaszerował dalej brzegiem rzeki.

— Początek dobry — szepnęła do siebie dziewczyna. Była to nasza Anusia.

Rozwinęła z walka różne niepotrzebne szmaty, przez czas niejaki udawała pranie; wreszcie gdy się szyldwach w stronę Czerniakowa oddalił i ukradkiem nałożył sobie fajeczkę, krzesając krzesiwkiem na hubkę, Anusia szybko zwlekła z siebie starą, lichą sukienkę, potem koszulę obwiązała sobie u lewej ręki, i pozostawiwszy lachy na brzegu, rzuciła się w rzekę.

Już też i zmrok szarem płaszczem pokrył Wisłę

i całą wzgórzystą Warszawę. Nasza rybaczka niby warszawska Syrena pełnemi i krzepkiemi ramiony przepłynęła bystry nurt rzeki, kierując się na przelaj, nieco z biegiem rzeki, w której połowie rozszerzyła się dość szeroka piaszczysta ława piasku.

Na tej zaspie wypoczęła z kwadrans, a potem znowu rzuciła się w zmarszczone fale szerokiej rzeki, kierując się w stronę Saskiej kępy, której rozłożyste topole nadwiślańskie ciemną masą wychylały się ze zmroku.

Dzielna rybaczka, płynąc niekiedy wznak dla odpoczynku, dostała się przecie szczęśliwie do niskiego z tej strony brzegu Kępy. Odpocząwszy chwilę, wcale nie zziębnięta, bo maj rozpoczął się bardzo ciepły, wyżęła dobrze koszulę i w nią się oblekła \*).

Przez gałęzie drzewin przenikało światelko z okna kolonii stojącej na wzgórzu. Tam swe kroki skierowała. Kolonistka, która się krzątała przed domem, gdy w świetle bijącym z okna ujrziała postać ludzką w białej, długiej koszuli, znać, zabobonna, przeżegnawszy się

---

\*) Ob. Pamiętnik J. U. Niemcewicza.





Przeprawa rybaczki przez Wisłę do komendy polskiej na Pradze.

krzyknęła:—wszelki duch Pana Boga chwali!— i w trwodze cofała się ku sieni.

— I ja Go chwale, — odpowiedziała młoda rybaczka—ale duchem nie jestem, jeno warszawianką potrzebującą pomocy.

Tu opowiedziała pokrótce cel swojego przybycia; poprosiła zarazem kolonistkę, by jej pożyczyła jakiej sukienki i chustki, za co będzie wynagrodzona sowicie przez komendanta Pragi, i, aby poszła z nią razem do niego.

Uczynna kobieta, serdecznie też nienawidząca Austryaków, ogarnęła Anusię jak należy i poszła z nią przez mostek rzucony z Kępy na łachę wiślaną na Pragę. Szyldwach, stojący przed główną kwaterą komendanta, opowiedział Anusię przed adjutantem, a ten wyjednał jej zaraz przyjęcie u pana Hornowskiego.

Komendant postawił na warcie w sieni ordynansa i przykazał, aby nikogo nie puszczal do kancelaryi, odkręcił więcej lampę olejową, by się jaśniej paliła, i podczas gdy kolonistka pozostała przed domem, usiadłszy na ławce, Anusia poproszona, aby spoczęła na krzeselku, zdała sprawę ze swego poselstwa.

Opowiedziała, z czem przysłała od swego wuja

i pułkownika Kilińskiego i dodała o zamierzonej przeprawie nocą na galarach piechoty austriackiej.

— Nie dla psa kielbasa!—rzekł pogardliwie komendant, — mamy się tu z generałem Sokolnickim na ostrożności; jednakże bardzo ci za te wiadomości dziękuję. Ale, dobrze dziewczę, zkądeście się o tych skrytych zamiarach dowiedzieli?

Tu Anusia opowiedziała mu, zkąd pułkownik Kiliński o tem wszystkiem powziął wiadomość.

— Potem — zapytał komendant — jakżeś się tu pocziwie dziewczę dostała, pomimo gęstych sztyldwach stróżujących tam nad Wisłą?

Anusia opowiedziała o figlarnym podstępie, przez jaki udało się jej przebyć Wisłę szeroką, a też i o tem, jak jej dopomogła kolonistka, której ubranie pożyczone niestety! trzeba zwrócić lub za nie zapłacić.

— Zuch z ciebie dziewczyna!—zawołał z zadowoleniem Hornowski,—oby jak najwięcej takich Polek na biednej naszej ziemi się rodziło! Masz tu oto kilka dukatów; będziesz miała z czego kolonistkę zapłacić i najać sobie przewoźnika z łódką.

Skłoniła się w podzięce Anusia i na odchodem zapytała:

— Zapewne już wasza miłość wiecie, że przybył tu dziś z rana niejaki Tomasz Kuwik ochotnik z regimentu krupiów, co jako ranny leczył się w naszym domu na Podwalu u wuja? Chciałabym się z nim zobaczyć, jeżeli łaska?

— A! tak, mieszka w koszarach—i otworzywszy drzwi do sieni, posłał ordynansa po niego.

Za chwilę powitali się serdecznie Anusia z Tomkiem, kemendant polecił temuż odprowadzić na Saską kępę Joasię i kolonistkę, a przytem w ostępach Kępy zgodzić pewnego przewoźnika dla Anusi.

Gdy samotrzeć przechodzili przez mostek, złote światło księżycy łamało się w biegnących ku Gdańskowi falach wiecznie żyjącej rzeki i oświecało ją na sporą przestrzeń. Nie rad był tej jasności nasz wojak. Ale wkrótce księżyc zapadał na zachodzie nieba. Zapanowała ciemność, którą przebijały tylko złotem i brylantami mrugające gwiazdki.

Za doradą kolonistki udali się z najdalszy cypel Saskiej Kępy, gdzie natknęli się na łódkę przywiązana sznurem do nadbrzeżnej drzewiny. Zbudzili przewoźnika na dnie łódki śpiącego, który za chojną zapłatą

zobowiązał się przewieźć Anusię nie wprost do Warszawy, ale dla wszelkiego bezpieczeństwa do Czerniakowa pod Warszawą. Poczem wszyscy troje pożegnali się z sobą.

Przewoźnik dostawił Anusię szczęśliwie do wskazanego miejsca. Tam w przydrożnym Czerniakowskim gościńcu przedrzemęła parę godzin, a zrana dostała się wózkiem do Warszawy z wieśniakiem, który wioził różne warzywa i jarzyny na sprzedaż. Dla niepoznaki obwiązała sobie głowę chustką wiejską, którą w Czerniakowie nabyła.

Zaledwie jednak stanęła na Podwalu, spotkała się przed domem wuja, z tajnym agentem Trinkaniego mężczyzną czarno zarośniętym, z garbatym nosem. Wyszedł on cotylko z warsztatu Wąsowskiego, gdzie pod pozorem obstalowania butów, przeglądał kąty i dopytywał się o siostrzenicę, której wrzekomo chciał uprzemie dzień dobry powiedzieć. Majster mu rzekł, że wyszła na miasto za sprawunkami. Agent pochwaliwszy jej gospodarność, wyszedł i przechadzał się właśnie na ulicy przed domem, strzelając dokoła śledczymi oczyma.

— A! dobry dzień, pannie Annie,— rzekł siląc się na uprzejmość, gdy ją spostrzegł,— zkądże to bogowie tak rano prowadzą?—i badawczo spojrzął na chustkę wieśniaczą, którą Anusia przez rękę sobie przewiesiła, i na sukienkę, która jakoś nie przystosowywała się do jej wysmukłej postawy.

— Wracam ztamtąd, gdzie mi być potrzeba było,—odpowiedziała niechętnie agentowi, którego zatrudnienie już знаła i weszła do mieszkania. Tu opowiedziała w krótkości wujaszкови o skutkach swego poselstwa, a ten zauważył zaraz:

— Był tu przed chwilą szpicel, znać, że te psy gończe już coś kolo nas zwietryły.

— Może się czegoś domyślają,—rzekła Anusia,— z tych łachów, com je wczoraj nad Wisłą porzuciła.

— Ha! być może—machnął ręką wujaszek,—niech ich tam dyabli biorą, przecież nam to łotry głowy z karku nie zerwą!

Tymczasem szpicel spotkawszy przed Wąsowskiego domem stróża, poczęstował go tabaczką, i niby od niechcienia zapytał—co to panienska tak rano z domu wychodziła, że dopiero co tylko powróciła z miasta?

— Ano—odrzekł gapowaty stróż—panienka w domu nie nocowała, to i powróciła rankiem do domu.

Gdy się stróż oddalił, ajent rzekł do siebie:

— Aha! tu coś się święci skrytego... pan Triakani się ucieszy .. — poczem powlókł się do ratusza, który stał onego czasu na środku rynku Starego Miasta.

---

## ROZDZIAŁ VII.

---

W nocy dnia tego mieszkańcy Warszawy słyszeli gęstą strzelaninę z tamtej strony Wisły naprzeciwko Kępy Okrzeńskiej w pobliżu Siekierok. We dnie wieść rozległa się po mieście, że to nasi powitali z zasadzki ten oddział Austryaków, który nocą przeprowił się gabarami i miał się ukryć w lasach, by czasu bitwy napasać z tyłu na naszych. Tymczasem sami wpadli w pułapkę. Co nie padło, dostało się do niewoli.

Był to więc pomyślny skutek Anusinego poselstwa. Mówiono, że dzielnie sprawili się tam i strzelcy kurpiowscy, a nasz Tomek dał znać przez jakiegoś prze-



woźnika Wąsowskiemu, że zdrowo i cało wyszedł z tej krwawej kąpieli.

Teraz już w biurze Trinkaniego zapanowała pewność, że ktoś ztąd tajemnie zawiadomił Polaków o również tajemnie wyprawionym oddziale, który wpadł w ręce zaczajonej zasadzki. Trinkani objaśniony przez owego szpicla kazał zaaresztować Anusię i odprowadzić na ulicę Mostową do prochowni, której mury ponure dotąd jeszcze stoją.

Napróżno starał się Wąsowski o wydobyście jej ztamtąd. Dozwolono tylko przynieść jej pościel i dostarczać do celi obiady z domu; nie wzbroniono też jej zajmować się tam różnemi robótkami kobiecemi.

Badanie jej miało się niebawem rozpocząć w więzieniu.

Tymczasem arcyksiążę rozdrażniony do żywego niepowodzeniami, srożył się w Warszawie i w kraju, ściągał nowe kontrybucye, kazał nawet dostarczać sobie pieniądze na żołd dla swego wojska. Co tchu też most pod Górą pod jego osobistym nadzorem kończono. Jakoż był on już gotowy do przemarszu wojska w noc z dnia 2 na 3 maja o godzinie 2 z rana.

Dzień ten 3 maja 1809 r. pamiętny w dziejach

naszych, ustanowioną w nim przed 18 latami konstytucją, czyli prawami wolnemi dla wszystkich, dziś przez waleczność wojsk naszych, nowego nabył blasku.

Zrana o godzinie 3 w oglęłości działa słyszeć się dały. Było to naprzeciw miasteczka Góry. Dwa świeże regimenty, to jest pułki austryackie, przeparały się do swych okopów na tamtą stronę.

Pokazał się z lasu mały oddział piechoty naszej, na który Austryacy posunęli się z natarczywością. Nasi, niby uchodząc, powiedli ich dość daleko, gdy niespodziewanie ze stron wszystkich okazały się liczne pułki piechoty naszej, a też i oddział strzelców kurpiowskich, które nieprzyjaciela okrążyć poczęły. Ustąpił on, ostrze-  
liwając się, do szańców swoich. Jenerał brygady Sokolnicki prowadzący awangardę, to jest oddział przodowy, na czele kolumny atakującej okrył się chwałą. Do szańców bez wystrzału podstawionemi bagnetami szturm natarczywy przypuścił i zdobył takowe, siejąc śmierć i trwogę. Rzeź w okopach była niezmierna, wszystko legło lub się poddało. Przez ten czas dwie nasze baterye armat wymierzone na most, krzyżowym rażąc go ogniem, rozerwały powiązane galary i promy i wiele nieprzyjaciela zatopiły w głębokiej Wiśle. Mało

co uszło, kilkunastu podobno huzarów. Wzięli nasi w niewolę 1500 żołnierzy, 50 oficerów, między którymi jeden pułkownik; 3 armaty, amunicye i chorągwie zwycięzcom naszym dostały się w ręce. Komenderujący generał dywizyi Szaurot sam ledwie na krypie umknął.

Książę Józef w rozkazie dziennym donosząc o tem zwycięztwie sztabowi jeneralnemu, pochwalił dowodzących oficerów a do prostych wojowników temi słowami swój rozkaz dzienny skończył:

„Niezwykłem wam pochlebiać, żołnierze! dziś śmiało myśleć możecie, że z największymi równaliście się wojownikami. Zasłużyliście na wdzięczność Ojczyzny.“

Tu przemilczeć nie możemy i o naszym junaku Tomaszu Kurpiku, który się w tej bitwie też nie mało odznaczył. Wróciwszy po wyzdrowieniu do swego oddziału, został po pierwszej potyczce chorążym. Wzięczono mu piękną chorągiew o barwie amarantowej z białym orłem i pogonią litewską w środku. a on uradowany, dosiadł konika i z szablą w dłoni z towarzyszami swymi atakował Austryaków z boku, gdy tak wyprowadzeni w pole ujrzeli się otoczonymi przez naszych, a potem do okopów zmiatali.



Tomasz Kuwik, walczy z Austryakami pod Górą.

Wsiedli im dzielni Kurpie na karki, kluli lancami,  
a nasz junak z chorągwią w jednej a z szablą w dru-  
giej ręce rwał się naprzód, dopomagając towarzyszom,  
co daj Boże!

W ataku konik jego strzał śmiertelny dostał,  
padł na kolana i już nie powstał. Tomasz teraz, nie  
puszczając ani na chwilę swego orlego sztandaru,  
z błyszczącym pałaszem w prawicy wpadł z piechotą  
w okopy.

Dodamy tylko ten szczegół jeszcze, że w owej  
rzezi, gdy pułkownik austriacki, odcinając się pała-  
szem, pragnął dostać się do stojącej u brzegu krypy,  
nasz chorąży poskoczył za nim, a przerzuciwszy do le-  
wej ręki pałasz, ułapił za kołnierz i tak go przycią-  
gnął do jenerała Sokolnickiego. Ten przyrzekł Tom-  
kowi i innym jeszcze walecznym wyjednać u główno-  
dowodzącego księcia Poniatowskiego odznaki honorowe.

Po tem zwycięztwie radość zapanowała w War-  
szawie, a komendant Hornowski kazał walić z armat  
raz po raz wiwaty na Pradze. Zaś Austriacy do ży-  
wego rozjątrzeni tą klęską, porabiali pozostałe w zbro-  
jowni warszawskiej lawety, koła od armat i amunicyj-  
ne wozy; zamki, nawet zawiasy, co tylko było z żelaza,

pozdierali i sprzedali żydom. Zbiór ksiąg dla szkoły artylerji poszarpali na strzępy.

Arcyksiążę teraz, porzuciwszy prawy brzeg Wisły, zajął swem wojskiem w półokręgu miejsce od Raszyna aż do Błonia i Sochaczewa.

Pozostali Niemcy atoli, robiąc dobrą minę, kazali grywać swym kapelom wesołe marsze po mieście.

Tymczasem nadchodziły do Warszawy wiadomości, że książę Józef prze Austryaków na Podlasiu i w Lubelskiem, a Napoleon maszeruje prosto na ich stolicę Wiedeń. W Warszawie trwoga wśród najezdzców wzrosła. Kasa ich już wyszła przodem. Mimo to zasilali się nowemi pułkami z Lubelskiego i Galicyi; mieli bowiem jeszcze w swym ręku zagarnięte po rozbiorach te części Polski oraz Sandomierz, Lwów i Kraków.

Wreszcie zupełnie wyszli z Warszawy, gdzie lud zaczął śpiewać wesoło:

„Mości Ferdynandzie, co ci się stało,  
Żeś uciekł z Warszawy w samo Boże Ciało?..“

Lecz co się dzieje z młodym Tomaszem Kuwikiem? czy żyje? boć to gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

Możemy zapewnić młodych czytelników, że dzięki Bogu, żyje dotąd zdrowo. Pozostał on z całym pulkiem Kurpiów na prawym brzegu Wisły.

Ówczesną granicą austryacką stykała się z Księstwem Warszawskim o milę od Pragi w miejscowości zwanej Grzybowa wśród lasów. Dotąd stoi tam I-no piętrowa kamienica, w której się mieściła komora celna austryacka. Tędy właśnie umykała resztką brygady pobitej generała Horna, by się dalej w Lubelskiem ze swoimi połączyć. Za tymi, którzy z Grzybowy umknęli i kasę komory celnej uwieźli, komendant Hornowski wysłał pogoń.

Otóż było to pod koniec maja, zawsze tegoż 1809 roku, kiedy zrana do płotów wzdłuż owej kamienicy stały przywiązane konie kurpiowskie—w liczbie paru dziesiątek, a obok kilku jeźdźców z lancami na straży stało.

Na dole w obszernej izbie kamienicy stał dzielnie wyglądający nasz Tomek w ubiorze Kurpia z pałaszem przy boku, krucicę miał przewieszoną przez plecy, a u kołnierza i mankietów błyszczały mu złociste obwódki, jako znak odróżniający.

Otoczyło Tomasza kilkunastu towarzyszy a on

kończył rozmowę z wiejską kobietą o tych, którzy umknęli z kasą.

— Mieli z sobą żołnierzy?—zapytał.

— Tak. Dziesięciu huzarów i dwóch służących uzbrojonych—rzekła kobieta. — Pojechali prosto przez las ku Karczewiu.

Młody sierżant wydał rozkaz swoim:

— Chłopcy! na koń i hejda!

Za chwilę 20 kurpiów pocwałowało w stronę, gdzie umknęły zbiegi. W dwie godziny dogнали uciekających leśną dróżną.

Rzucili się Kurpie na huzarów a na czele Tomasz z obnażonym pałaszem; po krótkiej utarczce trzech w starciu zarabali, a reszta rzuciła pałasze i dostała się w pęta. Niebawem opanowali nasi uchodzącą kasę; wóz zabrano, a cywilnych Tomasz puścił wolno. Został potem wraz z całym oddziałem nagrodzony z tych pieniędzy, które teraz zdobył.

Na Pradze powiadomił go jeden z przewoźników, że Austriacy do więzienia wtrącili Anusię.

— O! lotry,--zawołał. — Odplącę ja wam z nawiązką za cierpienia tego dziewczęcia.



Dziś trudno nam może pojąć jaki to w on czas zapanował wojowniczy zapał do obrony kraju, do pomszczenia krzywd doznanych! Lud mimo wycieńczenia w zasobności, mimo pastwienia się nad nim, nie tracił serca, zapomniał o swej niedoli i garnął się do szeregów na ochotnika. Cały pułk strzelecki Kurpiów, służył chętnie bez żadnego żołdu, tylko za życie, czując, że skarb krajowy jest niebogaty, że go każdy z najeźdźców łupił i obdzierał. Można tu śmiało przytoczyć słowa czcigodnego Juljan Niemcewicza o nas, że: „Niema podobno ludu pod słońcem, któryby mniej sąsiadom swym zaszkodził i więcej od nich ucierpiał!“

Niestrudzony książę Józef, zebrawszy dość potężne siły w kraju, pobił Austryaków w różnych miejscach i odebrał im szturmem Lublin i Zamość warowny.

Wraz z temi wiadomościami nadchodzącemi z kraju o zwycięstwach naszych, major Hornowski i inni przywódcy nasi ze swemi pułkami rankiem przeprawili się po moście łyżwowym z Pragi do Warszawy i w zwartych szeregach przy dźwiękach kapeli pomaszerowali przez miasto ku Mokotowu, gdzie rozłożył się obóz pod wodzem księciem Zajączkiem.

Nim tam doszli, między zuchami, których po ulicach Warszawy lud witał radosnymi okrzykami, zwracał uwagę pułk ochotników kurpiowskich swoim ubiorem i dziarskim wyglądem. Mieli oni na nogach swoje plecione łapcie kurpiowskie, niskie kapelusze z piórkami, przez ramie przewieszone króćce, przy boku pałasze.

U wylotu ulicy Bednarskiej stał majster Wąsowski wraz z kumem Andrzejem i swą siostrzenicą Anusią, którą po wyjściu Austryaków zaraz Rada Miejska uwolniła z więzienia.

Garstka tych przyjaciół ujrzała z radością Tomka w szeregach z chorągwią w rękę, na koniu. Błyszczały mu złociste obwódki i na piersiach order za waleczność— „virtuti militari.“

Tegoż dnia jeszcze młody Kuwik, za pozwoleniem pułkownika Zawadzkiego, odwiedził swych przyjaciół w kamienicy, z rokiem 1772. Gościnnie podjęty opowiedział swoje przygody z chwil ostatnich, o bitwie zwycięskiej pod Górą, i o utarczce za Grzybową, jak niemniej i tę wiadomość, że za kilka dni wyruszy znowu w pochód z drugimi, bo ksiązę Poniatowski zapo-

trzebował nieco wojska z Warszawy i z obozu w Mokotowie, aby z Sandomierza wyparować najeźdźców.

Nasz Kurpik, pokazawszy swym przyjaciółom kilkanaście uzbieranych dukatów, rzekł:

— Mam teraz z czego już prawdziwie kawaleryjskie skórnie sprawić sobie w Warszawie, bo moje kurpiowskie chodaki, już do cna mi się podarły.

— Nie potrzebujesz, kochany wojaczku, ich kupować,—rzekł na to pan majster Ludwik.

I zaraz też wziął mu miarę, a pułkownik dodał:

— Ja znowu, chrobry Tomku, dodam ci parę pistoletów z rączkami o kości słoniowej, com się niemi, mospanie, posługiwał, kiedyśmy to pod panem Kościuszką odpędzili Prusaków z pod Warszawy.

— A toć i ja ci dodam, młody zuchu,—wtrącił pan majster bednarski,—srebrne ostrogi, co mi się dostały ongi jako setnikowi, kiedyśmy to z panem Janem wy-miatali z ulic Warszawy różne naleciałości.

— A ty, Anusiu,—spytał siostrzenicy wujaszek,—co dasz od siebie jako upominek młodemu wojacz-kowi?

— Mam tylko, proszę wujka, pierścioneł poświę-

cany, srebrny, grubo wyzlacany z napisem: „Pamiątka z Częstochowy...” to chyba...

— Al! daj go zaraz, — rzekł wujaszek, a Anusia poskoczywszy żywo, przyniosła z komódki obrączkę ową i wręczyła ją szczerze uradowanemu Tomkowi.

Na trzeci dzień z rana majstrowie Ludwik i Andrzej, a także Jan Kiliński i Anusia pojechali dużą, najętą bryczką do Mokotowa. Majster Ludwik wziął kawaleryjskie buty.

W obozie było gwarno i rojno jak w ulu. Szydł-wachy z karabinami stały gęsto dookoła obozu, nad którym przy obszernym namiocie księcia Zajączka powiewała wielka, amarantowa chorągiew z jaśniejącym w słońcu majowem białym orłem w pośrodku.

Nieopodal, w Mokotowie wstąpili nasi znajomi do ogródka przy jadłodajni, i tam pod altanką zabawili przy wesołej pogawędce do wieczora. Przy oblewiniach miódkiem skórzni kawaleryjskich i spożywaniu kruchych obwarzanków, otrzymał Tomek jeszcze owe srebrne ostrogi i świetne pistolety.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

---

Trzeciego dnia po tych odwiedzinach, przy odgłosie trąbek i tarabanów, wyruszyły z pól mokotowskich w pochód nasze zuchy pod dowództwem jenerała Zajączka na Raszyn, Sękocin, Tarczyn, Białobrzegi ku Radomowi.

Tomasz jadąc na żartkim koniku pomiędzy kurpiami, powiewał swoją chorągwią, na której był z jednej strony Orzeł Biały i Pogoń Litewska a z drugiej wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Towarzyszyła naszym prześliczna czerwcową pogodą.—Mimo to wszystko, pchali się wciąż Austryacy ku Warszawie,

ale generał Dąbrowski wyparł zwycięzko ich z Rawy i Nowego Miasta.

Tu i owdzie obok wielu oręży zabrali też nasi Austryakom armaty; w jednej tylko utarczce pod Jedlińskiem naszym się nie powiodło.

Właśnie oddział warszawski, w którym był i pułk strzelców konnych kurpiowskich, śpieszył teraz korpusem naszym na pomoc.

Zdarzyło się, że w dniu 26 czerwca dwóch naszych ułanów, prowadząc z Sulgostowa w Radomskiem zabrane magazyny austyackie ku Warszawie, zostało napadniętych przed 18-tu huzarów, i zabitych. Pod tę porę 12-tu strzelców konnych kurpiaków, pod przywódzcem naszego sierżanta Tomasza, wyjechało na zwiady i właśnie natknęli się na owych napastników. Podoficer huzarski krzyknął na swoich po niemiecku:

— „Hauzu! hauzu!“ (rąb! rąb!)—i rzucił się ku naszym z okrwawioną jeszcze szablą.

— Chłopcy! w nich! — krzyknął Tomasz i wpadłszy jak piorun, pierwszy szablą swoją zwałił z konia tegoż podoficera... W zaciętej utarczce prócz zabitych wzięli kurpiaki 12-tu huzarów w niewolę, sami też

mieli dwóch ciężko rannych, a prowiant uwożony odebrali.

Gdy dywizye naszych generałów ksiązę Józef połączył z sobą, Austryacy oganiając się jak mogli, zostawiali swe magazyny i śpiesznie uchodzili w strony Krakowa. Sandomierz został zdobyty przez naszych. Podążył za nieprzyjacielem ze swym korpusem generał Rozniecki, pod którego komendę przeszedł teraz pułk strzelców kurpiowskich, i stanął pod Krakowem, który niebawem generałowie austriaccy poddali księciu Józefowi, uchodząc dalej, w stronę Lwowa.

Krótko mówiąc, ksiązę Poniatowski, oswobodził od najeźdźców całą Galicyę, i ta, za wolą Napoleona, który ani jednego swego żołnierza w tej kampanii nie stracił, została w części połączona z Księstwem Warszawskiem, zawsze pod naczelnem zwierzchnictwem tegoż cesarza.

Radość niezmierna zapanowała teraz w Krakowie i całej Galicyi, mieszkańcy sypali przed naszymi walecznymi wojskami kwiaty.

I nasz Tomasz bił się w Galicyi, a choć mu nieraz kulki świstały nad uszami, jakoś wszędzie przy lasce Bożej wyszedł cały. Odwagę swoją zwrócił uwagę

jenerała Roźnieckiego, ten go wraz z innymi zuchami przedstawił księciu pochlebnie, za co też otrzymał w upominku pierścień żelazny z blaszką złotą, na której był wyrzeźbiony napis: „książę Józef Poniatowski.“ Podobno pierścienie takie kazał książę kuć z moździerzy żelaznych zabranych Austryakom.

Od Napoleona przyszedł teraz rozkaz do księcia, aby mu posłał nowe posiłki do Hiszpanii. Z ochotników kurpiowskich zaledwie kilku tam poszło w szeregi ułanów.

Nasz młody wojaczek nie chciał tam bić się i mordować biednych Hiszpanów za to, że swojej ojczyzny bronią od najeźdźców. Wolna jego była wola jako ochotnika, to też z innymi kurpiakami został teraz wypuszczony z wojska i mógł swobodnie pod dowództwem oficera powrócić z innymi do Warszawy. Wiózł tedy Tomasz w tłumoczku przywiązanym z tyłu za kulbaką swego konia piękne gościńce, jako zdobycz na wojnie, a dla kogo? o tem się niebawem dowiemy.

---





Ułani polscy w pochodzie wojennym.

## ROZDZIAŁ IX.

W końcu więc listopada r. 1810 pułk strzelców kurpiowskich, a z nim i nasz Tomasz po nabożeństwie w kościele Maryackim wyruszył z Krakowa. Za nimi szły oddziały piesze. Tomasz po dawnemu, siedząc na koniku, trzymał wysoko swoją, teraz więcej już zestrzelaną chorągiew.

Przywodził teraz kurpiom i innym oddziałom znajomy nam major Szremer, ów niegdys namiestnik Zawadzkiego, który pozostał w Krakowie.

Tomasz, zawsze skory i do tańca i do różańca, zaraz na trakcie Krzezowickim, za zezwoleniem majora,

zaśpiewał ochoczo piosenkę wojacką, a inni mu wtórowali:

„Stoi żołnierz na kwaterze.  
Ostatnią gęś babie bierze,  
Hej, chłodno i głodno! żyjem sobie swobodno!  
Baba idzie do rotmistrza,  
A gęś z garnka łeb wyrzeszcza!  
Hej, chłodno i t. d.  
Baba wraca od rotmistrza,  
A gęś idzie do tornistrza“  
Hej, chłodno i t. d.

Jechali tak już tydzień, nie śpiesząc się zbyt, gdy przystanąwszy przed zajazdem na rynku miasteczka Białobrzegi nad Pilicą, usłyszeli śpiew dziadka, który sobie do śpiewu na starej lirze przygrywał, kończąc smętny śpiew zwrotką:

„Oj! ty, ojcze rodzicielu,  
Nie ciesz się ze synów wielu,  
Oj! ty dyna, da!  
Bo te syny, gdyby trzciny,  
Zmiecie wojna do doliny.  
Oj! ty dyna da!“

— Nie ze wszystkimi synami tak się staje, mój dziadku,—rzecze Tomasz, który zsiadłszy z konia, stanął obok lirnika—bo oto tylu nas synów nie zmiotła wojna do doliny.

— Chwała Najwyższemu za to! — odpowiedział lirnik.

— Ale, mój dziadku, — mówił dalej nasz młody wojak,—mnie się zdaje, że ja was już gdzieś., gdzieś widziałem?

— I mnie się coś ochapia, że ja też znam zka-  
ciś pana żołnierza...

— A czy to nie wy byliście niegdyś napadnięci przez wilki w Myszynieckiej puszczy?

— A toć ja doprawdy!—zawołał starzec wlepiając badawczo oczy w twarz Tomasza,—toć to wyraźnie widzę teraz, kto mię wtedy od tych drapieźników ocalił, jeno że pan żołnierz nie miał jeszcze tego sumiastego wąsika, tej ładnej szablisy i tego świecącego krzyżyka na piersiach.

Chciał ucałować dłoń Tomasza, na której palcu obok pamiątki Anusinej również błyszczał pierścień pamiątkowy od księcia Józefa; lecz nasz żołnierz usunął dłoń i zapytał:

— A niebyliście tam znowu kiedy w tych moich rodzinnych stronach, dziadku?

— A toć byłem tam po prozonom i zajrzałem nawet do półborku rodzica waszego, będzie temu ze trzy niedziele.

— A czy zdrowi tam wszyscy?

— Dzięki Bogu, wszyscy zdrowi, jeno ciągiem o panu żołnierzu wspominają i modlą się do Najwyższego, żeby ich syna od wszelkiego nieszczęścia obronił...

Kazał Tomasz gościnnej podać staremu dla rozgrzania się piwa gorącego z serem, wsparł go kilkoma czeskiemi, sam się też posilił i po krótkim postoju pojechał dalej z towarzyszami.

Nareszcie 17 grudnia stanął w stolicy Księstwa. Nazajutrz kilka innych pułków z artylerją weszły do Warszawy na zimowe leże. Wystawiono dla wojska tego na Nowym-Swiecie między figurami zwanemi Trzy Krzyże, tryumfalną bramę.

Wszystkie ulice, wszystkie okna napelnione były radosnym ludem.

Jakoż musiał to być wspaniały i tkliwy zarazem widok, patrzeć na wojsko piękne i zwycięskie, którego

przed trzema laty równie jak i polskiego imienia nie było.

Dwa pułki świetnej piechoty na placu Saskim utworzyły ścianę z iskrzącej się, najeżonej stali. Tłum proporców o rozmaitych kolorach, wśród których powiewająca w ręce sierżanta Tomasza, poszarpana kulami chorągiew po nad oddziałem Kurpiów,—wszystko to cudny miało sprawić widok.

Na uczcie wydanej dla wojska przez miasto w koszarach Sapieżyńskich przy ulicy Zakroczymskiej zjawili się też: majster szewcki Ludwik Wąsowski, ubrany odświętnie w sutą czamare, sędziwy pułkownik Kiliński, oraz kum Wąsowskiego Andrzej bednarz, zaś Anusia przydźwigała na ucztę duży kosz z winem i miodem, zakupiony przez jej wuja Ludwika.

Przywitaniom i radości nie było końca. Młody Kuwik przywiózł dla Anusi pyszny szal turecki, który za bezcen wśród popłochu kupił był we Lwowie. W czasie uczty i ogólnego gwaru, odezwał się pułkownik Kiliński:

— Popisaliście się dzielnie, mili wojaczkowie, w tej kampanii; jeno szkoda, mospanie, że Napoleon część tylko Galicji z Krakowem i Wieliczką przysądził nam

przez zawarty pokój z Austryakami w Presburgu, część Padola oddał Rosyi, a resztę Galicyi ze Lwowem i Przemyślem tym pludrom austryackim zostawił. No, ale moi Tomaszu, prawda to, że przed wami Austryacy znykali tam, niby spłoszone stada gołębi?

— Święta prawda,—odpowiedział młody Kurp',— kiedyśmy naprzykład w 30-ści koni jako forpoczta na Lwów uderzyli, to jakby wymiółł, drapnęła przed nami liczna tam załoga tych tchórzów. A naród klękał przed nami, całował cugle i sypał koniom kwiaty pod nogi i wszystko wykrzykiwało: „Niech żyją ulani!”

— No, a Kurpiaki nie?—zapytał majster Ludwik.

— Oni tam, panie Święty, — rzekł Tomasz, — wszystką naszą lekką kawaleryę ulanami zwali.

W przeddzień odjazdu swego z Warszawy był Tomasz wraz z Wąsowskim i jego siostrzenicą na na bożeństwie w kaplicy cudownego Pana Jezusa u Fary.

Tegoż dnia jeszcze, jakże się radośnie zdziwił, gdy komendant miasta, przywoławszy go do kancelaryi, wręczył mu pismo z nadaniem na własność zupełną półborka bartniczego w Puszczy Myszynieckiej, a to na przedstawienie księcia Poniatowskiego jako mini-

stra wojny i wodza naczelnego. Pod nadaniem był podpis: „Fryderyk August Król Saski, Wielki Książę Warszawski,“ jego bowiem postawił Napoleon na czele Księstwa.

Wyjaśniło się, że wyrobił mu to, za waleczność jego, znany nam pułkownik Zawadzki, który poprzednio w Puszczy zapoznał się był z nim, jak to nam wiadomo.

Wracał tedy w rodzinne strony młody Kuwik samotrzeć z towarzyszami swemi konno. Ranek był mroźny, lecz pogodny. Słabe promienie słońca ozlacały gałęzie drzew posrebrzone szronem, gdy podróżni nasi znaleźli się w puszczy blisko półborka Kuwików. Już zdaleka ujrzał z bijącym sercem Tomasz dym wirujący prosto ku modremu niebu; stado gołębi po dawnemu zataczało w powietrzu po nad strzechą jego rodziną szerokie kręgi...

Wtem na zakręcie drogi oczom podróżnych straszny się przedstawił widok. Oto na gałęzi przydrożnej sosny kołysał się miotany wichrem trup wisielca! Podjeżdżają bliżej,—i nagle ze zdumieniem i zgroza zawołał Tomasz:



— Wielki Boże! toż to ciało Wicka Mrocza...  
Czemże on na to zasłużył?

Przyjechawszy do domu, po serdecznem powitaniu rodziców i brata, dowiedział się nasz młody wojak, że Wicek, brnąc coraz dalej w próżniactwie i niecnocie, został świeżo przyłapany na wykradaniu cudzej barci z miodem na sośnie. Prawo bartne, bardzo surowe, karało śmiercią pszczolarzów złodziei, a gdy przytem wydało się, że Wicek niegdys służył Prusakom za szpiega, przeto zwołano sąd ze starosty bartnego i podsejdków, który skazał nieponia na powieszenie. Starosta królewski w Łomży wyrok ten zatwierdził. Ksiądz z Myszynca wysłuchał spowiedzi przed śmiercią nieszczonego skazańca.

Tomasz uprosił starostę bartnego, że mu pozwolił zdjąć wisielca z sosny i na cmentarzu pochować.

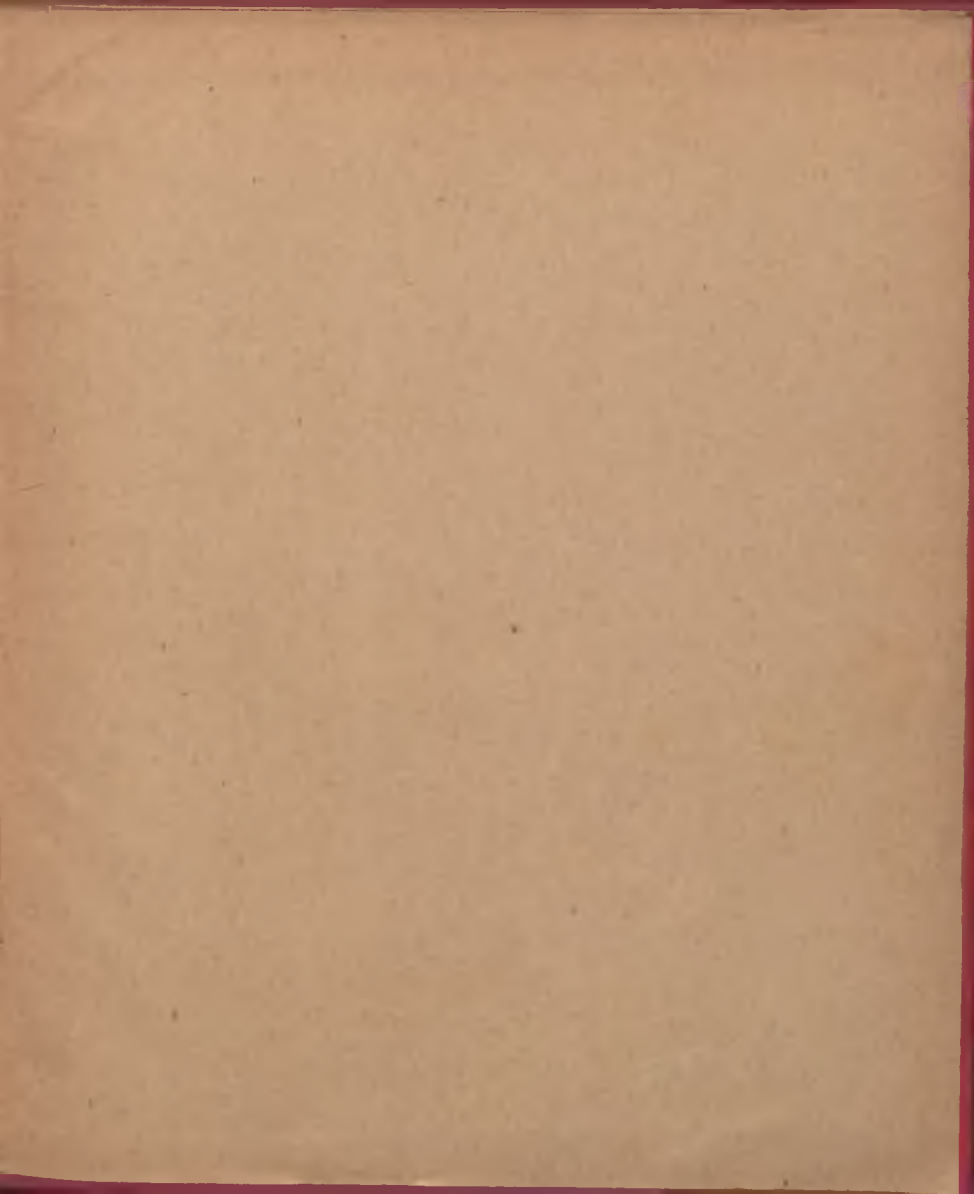
Tomasz, rozdawszy rodzicom upominki z wojaczki, Wojtusiowi podarował piękną, zapasową szablę zdobytą na jakimś oficerze austriackim pod Wieniawką w Galicyi. Wojtuś zaś miał już przygotowany piękny sznur dużych, ślicznych bursztynów na podarek ślubny dla Anusi. Stało się bowiem, że za zgodą starych Kwików pan majster Wąsowski sam przywiózł do pół-

borka swą siostrzenicę Anusię z pięknem wianem na żonę dla Tomasza. Ślub odbył się w kościele Myszyńskim, a obchód weselny w domu Kuwików.

Na weselu wprawdzie nie byłem, nie jadłem ani piłem, i z brody mi nie kapąło; ale spisałem wiernie, co się niegdyś stało.

KONIEC











554312 160 -

PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA



Gdańsk-Wrzeszcz  
Al. Gen. J. Hallera 14

111071